I.

KOKOSZKA.

106102

Mój kochany — mówił do mnie mój przyjaciel, redaktor »Psztyka«, o którym dzisiaj nawet w bibliografii trudnoby było doszukać się wzmianki — mój kochany, potrzebuję całego szeregu luźnych feljetonów, czybyś mi nie pomógł?.. przysiądź trochę fałdów i napisz cokolwiek, co zechcesz, nie krępuj się...

— Ba! — odrzekłem, wydymając usta, obtarte dopiero co po skromném śniadaniu, któreśmy z poczciwym Dydakiem zjedli w handelku — o czém ja ci napiszę tak na kolanie?

— Alboż to mało tematu!.. świat, jak kopalnia, tylko pogrzebać trochę, znajdziesz z pewnością, jeśli nie brylant, to grudkę jakiejkolwiek rudy.

— Hm, hm!.. tak ci się zdaje; zresztą, poczekaj... spróbuję.

— Słowo?

— Słowo.

— Jutro rano przyszlę chłopca do ciebie przed ósmą.

I przysłał, a jednak »Psztyk« dnia tego wyszedł bez feljetonu, chociaż strawiłem nad nim połowę nocy.

Dydaś odesłał mi rękopis wieczorem z długim listem, w którym tłómaczył się, wykręcał, przepraszał, że pracy méj pomieścić nie może ze względów czysto osobistych, że nie czytając rękopisu, kazał go złożyć, lecz dopiero w korekcie spostrzegł się, iż wydrukować mu niepodobna tego, że na pomysł się zgadza, ale prosi, żeby początek opuścić.

— »Bardzo mi się dobrym wydał twój plan przedstawienia w luźnych obrazkach rozmaitych typów kobiecych — pisał do mnie w swoim liście — to może być ciekawe i zajmujące, jeśli będzie prawdziwe, ale téj pierwszéj sylwetki nie mogę pomieścić, ze względu... ze względu na moję żonę. Ot, poprostu przyznaję ci, że chcący, czy niechcący skopiowałeś mi moję babę, jak z portretu. Miałbym sądny dzień potém, że we własnym dzienniku zamieszczam na

nią satyry. Jakeś dobry, rzuć początek do kosza i zacznij *da capo* od drugiego rozdziału!«

Ani mi przez głowę nie przeszło, abym opisywać miał poczciwą Dydasiowę, samo się tak złożyło... Miałem nawet zamiary wręcz przeciwne satyrze. Tyle się kobietom łatek przypięło za ich wady i ułomności, tyle się o nich złego popisało od wynalezienia alfabetu, że mi przyszła ochota oddać im choć trochę sprawiedliwości i wybrać z galeryi moich znajomych »męczennic małżeńskiego jarzma«, kilka bardziej charakterystycznych typów.

I musiałem właśnie natrafić na takie nożyczki, które się odezwały odrazu!..

Wrzuciłem zniechęcony rękopism do teki i zaniechałem projektu; dzisiaj, po latach, przeglądając stare papierzyska, natrafiłem na odrzucony manuskrypt. Wiecie, Dydak miał słuszność; kiedy teraz, w czasu perspektywie patrzę na panią Dydakowę, widzę dopiero, jaki mimowolnie portret jéj zdjąłem z natury, wierny aż do najdrobniejszych szczegółów. Byłaby się w tej »Kokoszce« z wszelką pewnością poznała kobiecina; może lepiéj, że się stało inaczéj.

Jużto na żonę redaktora i literata biedactwo nie było wcale stworzone, choćby z tego względu, że mu co roku dawała pociechy, najkłopotliwsze pod słońcem. Znane bocianisko przylatywało do nich z każdą niemal wiosną i przynosiło to syna, to córkę, raz nawet czy dwa razy po parze. Gdyby się wszystko było chowało — o Jezu!.. ale jakoś Bóg łaskaw, to dawał, to brał; jednak po ogólnym obrachunku, z dwanaściorga zostało przecież siedmioro. Spora paczka.

A wszystko to musiało jeść, ubrać się, obuć, uczyć, chodzić do szkoły i na pensyą.

Jedném piórkiem okryć tyle piskląt, to była sztuka nielada. Biedny Dydak posiwiał przed czasem, ale nie skarżył się nigdy, że mu ciężko. Żona go pocieszała.

— Dał Pan Bóg dzieci, daje i na dzieci!

Nie bardzo-bo dawał, ale jakoś dochody z dzienniczka musiały na wszystko starczyć — a czego Bóg nie dodał, to dobrzy ludzie dorzucili.

»Psztyk« jakimś cudem opłacał się, choć mu prenumeratorów nie przybywało, ale główny redaktor był w jednéj osobie wszystkiém, głównym współpracownikiem, ad-

ministratorem, korektorem, inkasentem, a nawet roznosicielem — jak się zdarzyło; pracował ciężko, cicho, z głową pochyloną po całych dniach i nocach nad stolikiem. Żona zpoczątku chciała mu pomagać, szło jéj niezręcznie, niesporo, wprawy nie miała. Poszła zamąż, jako córka małego urzędnika z prowincyi; podobał się jéj literat, bo wierszyki pisywał dowcipne i książki przynosił do czytania. Kiedy zobaczyła raz sonet do siebie, ze swemi początkowemi literami, wydrukowany w jakimś tygodniku, powiedziała sobie:

— On, albo żaden!

Ogromnie jéj to pochlebiło; autor ze swemi wierszami trafił do serca odrazu.

No i poszła za niego, choć on był chudym literatem a ona za cały posag miała okrągłą buzię, rumianą i świeżą, jak rzodkiewka, oczki bystre i świecące, jak u myszki, dołki przy ustach i ciągły uśmieszek na twarzy.

Pulchniutka, okrągła, żywa i wesoła zawsze, nawet wtedy, kiedy przy dwunastém stare powijaki naprawiała, przypatrując się im z uwagą, a Bóg wie, czy nie pytając

w myślach, ażali wystarczą jeszcze dla trzynastego.

Te dzieci stały się dla niéj niemal potrzebą życia; miała taką ślepą wiarę w Opatrzność i w swego Dydasia, że ani wątpiła, iż wychowa wszystkie i wyprowadzi na ludzi. Ale też poza wychowaniem, poza dziećmi, poza domem, o Bożym świecie nie wiedziała. Naco jéj się to zdało!.. Dom i dom, siedm łóżek, siedm par bucików, siedm śniadań codziennie, siedm nakryć przy stole, siedm par pończoch do cerowania etc. etc., wszystkiego po siedm. Dla innych to fatalna liczba, dla niej była *alfą* i *omegą* jéj życia, jéj myśli, zajęć, uczuć, kłopotów i radości.

Mąż jéj, redaktor, literat, człowiek publiczny, przedstawiał się dla niéj jedynie w charakterze ojca, nie umiała z nim wkońcu o niczém innem mówić, tylko o Muni, Mińci, Toniu, Józi, Lolu, Franiu i Gabrysi, o ile nie starczyło czasu na wieczne w sercu matki wspomnienia o zabranych w poczet aniołków Klimci, Stasiu, Jasiu, Kaziu i Weruni.

Musiałem się tych wszystkich imion dopiero na pamięć uczyć, bywając w ich do-

mu częstym gościem i to nie byłbym na wyrywki potrafił wskazać, które do którego należy, tak wszystkie były do siebie podobne.

Trzeba było widzieć panią Dydakowę w tym wianuszku żywych jéj kwiatów.

Dydak, zerkając z drugiego pokoju przeze drzwi na żonę, otoczoną dziećmi, przerywał rozmowę najpoważniejszą i zapatrzony w ten obrazek rodzinnego szczęścia, mówił do mnie, biorąc mnie z czułością za szyję:

— Patrz, czy ona nie wygląda, jak Murillowska Madonna między aniołkami!..

Nie, nie wyglądała tak poetycznie, chyba w jego zakochanych oczach. Krasa i świeżość młodości spełzły już dawno. Żyjąc ciągle dla drugich, zapomniała żyć choć trochę dla siebie, wyrzekła się wszystkich »pretensyj«, nawet czepeczka na włosach przyczesanych w pośpiechu, nawet szlafroczka nowego; stary poszedł na kaftaniki dla trojga młodszych bębnów.

Niegdyś miała rączki białe i zgrabne, z różowemi paznogietkami; teraz, gdzie jéj tam było o rękach myśléć i paznogciach, które zawadzały przy ciągłéj robocie. Z je-

dną sługą w dużém mieście przy tylu dzieciach niepodobna się oszczędzać; i tak, harując od rana do wieczoru, wszystkiego w porządku nie dało się utrzymać. Zaledwie w święto i w niedzielę jakotako wyglądało w trzech pokojach, które zajmowali na drugiém piętrze. Mieszkanie niebardzo mieli dogodne, ale zmienić się nie dało.

— Ot, widzisz, musiałbym odrazu zapłacić zaległe komorne i na nowy zadatek coś odłożyć — mówił mi Dydak w zaufaniu. — Zresztą, Pelcia nie wyniosłaby się ztąd za nic w świecie; tu się nam sześcioro dzieci urodziło... To jakby gniazdo rodzinne!

W tém gnieździe czysto bardzo i wygodnie nie było, ale cóż robić!.. Dydak mi się przysięgał, że mu się najlepiej pracuje, gdy za ścianą słyszy szczebiot owych malców i przy akompaniamencie tego septetu pisał, korygował, układał numer swego brukowego dzienniczka. Przyzwyczaił się do pisku, krzyku, gwaru siedmiu głosów, nad któremi dominował dyszkant pani Pelagii.

Trzeba ją było widzieć rozdającą wieczorem kaszkę na mleku swoim pociechom, albo smarującą chleb powidłami na drugie

śniadanie dla starszych dzieci. Zdarzało się tak, że dla ojca zabrakło wkońcu. Załamywała ręce ze śmiechem i mówiła wtedy:

— Cóż ty biedaku jeść będziesz?... poczekaj, poczekaj, podzielimy się moją porcyą.

Oddawała mu całą; jéj saméj nigdy niczego nie było potrzeba, powietrzem żyła, ale broń Boże, aby któremu z dzieci zabrakło. Po domu chodziła w przydeptanych pantoflach, lecz najstarsza córeczka musiała mieć lakierowane buciki i pasterkę z różowemi wstążkami. Próżność macierzyńska nie byłaby zniosła, aby jéj dzieci gorzéj były ubrane od innych.

Co dziwna, że chociaż bieda nie wyłaziła od nich z domu, pani Dydakowa humor miała zawsze wyborny; nie brakło jéj nigdy otuchy, jeszcze się z mężem nią dzieliła:

— E, co tam, będzie lepiéj, stary, zobaczysz! — mawiała do niego, gdy zwieszał głowę stroskaną, nie mogąc grosza wytrzasnąć na najpierwsze potrzeby.

Kiedy on nie dostarczył gotówki, ona miała kredyt na zawołanie; do niego zaglądali Żydzi od frontu, do niéj Żydówki

od kuchni, z któremi wieczne miewała konszachty, handlowała, sprzedawała, kupowała na raty, sztukowała, jak mogła.

Bóg wie, zkąd téj praktyczności nabrała, bo oszczędną nie była przy tém wszystkiém; pieniądze szły przez palce, jak woda. Gdy ich trochę więcéj napłynęło, nie liczono się z jutrem. Dzieci musiały mieć bal i łakocie, i zabawki, i sukienki nowe, choćby potém cały miesiąc na kredyt żyć przyszło. To i cóż? kiedyś tam znowu musiały być pieniądze, od czegoż był ojciec!

Dydaś musiał na wszystko starczyć i starczył.

— Mój stary, nie mam już ani grosza, możebyś się postarał gdzie o pieniądze na jutro — mówiła, a stary kładł kapelusz na głowę, brał laskę do ręki i wychodził na miasto — starać się o pieniądze.

Nie zawsze się znalazły, ale pani Dydakowa nie pytała nigdy, zkąd się wzięły; wiedziała, że mąż miał długi. Ba! któż ich nie ma. Nie martwiło jéj to; alboż to raz zajęli im wszystkie meble; sam widziałem fortepian sznurkiem przypieczętowany do podłogi. Pokazywali mi to oboje ze śmiechem, nie tracąc fantazyi; własna bieda

bawiła ich i humoru nie odbierała. Wierzyli w swoję dobrą gwiazdę, która nad dziewięciogłową ich rodziną świeciła.

— E, zobaczysz, będzie jeszcze lepiéj! — powtarzali sobie wzajemnie i jedno drugiemu rzucało się na szyję, a dokoła czepiająca się sukni matki, rękawów ojca, gromadka siedmiorga dzieci domagała się równéj i jednoczesnéj pieszczoty.

Nieraz zazdrościłem im téj lekkomyślności, z jaką swą dolę traktowali. Zasłaniała ona im oczy na rzeczywiste złe. Kochali się tą miłością bieżącéj chwili, nie myśląc o jutrze.

— Dydaś da sobie radę! — mówiła zawsze pani Pelagia, a on jéj wiarą chronił się sam od zwątpienia, chociaż go coraz bardziéj przygniatały ciężary życia.

Nie mogła pojąć, aby sobie mąż kiedykolwiek nie umiał poradzić.

W dzienniku męża zajmowała ją jedna rubryka najbardziéj, rubryka ogłoszeń; z ich ilości wnioskowała o dochodach, jakie »Psztyk« dawał. Dzieciom zaś najwięcéj podobał się tytuł, bo ich rozśmieszał.

Matka swoje pisklęta żartobliwie »psztyczkami« nazywała, powiadając o swoim

Dydaku, że ma tak duży nos, iż mógłby więcéj, niż dwanaście psztyczków wytrzymać.

Poczciwiec, przed żoną ukrywał się ze swemi kłopotami, nie dał jéj nawet poznać, jak mu ciężko było dźwigać tyle obowiązków w rodzinie i jak drogo przychodziło opłacać te pociechy; jéj wystarczało, że jak kokoszka w gronie piskląt mogła się pysznić różowemi buziakami swoich malców.

— Niech mi druga pokaże takie zdrowe i ładne dzieci, jedno w drugie! — mówiła do mnie nieraz, ustawiwszy rzędem całą swą progeniturę; oczy jej się iskrzyły radością, szczęściem, dumą i zadowoleniem, całowała i przyciskała wszystkie do siebie z wybuchem czułości macierzyńskiéj, a Dydak z rękoma w kieszeniach stał nad nią i patrzał niby z pogodną twarzą, lecz w oczach znać było ciężką, smutną, chmurną, ukrywaną w głębi duszy troskę:

— Jak ja to wszystko wychowam!...

Odchodził potém do stolika, brał pióro odłożone na chwilę i z podwójną gorliwością pisał daléj artykuł do jutrzejszego numeru, bo gdyby tak kiedy »Psztyk« drugiego dnia nie wyszedł...

A jednak nie wyszedł pewnego razu, bo redaktor usnął nad korektą, zmęczony całonocną pracą, głowę oparł na krawędzi stołu, by odpocząć na chwilę, oczy zamknął i nie otworzył ich więcéj...

Kiedy pani Pelagia, zbudzona świtem, wstała z łóżka, aby zobaczyć, co jéj Dydaś tak długo robi w swoim pokoju, znalazła go raz przy dogasającéj lampie martwego, bez duszy, w téj saméj pozycyi siedzącéj, w jakiéj długie lata co wieczór widywała męża przez uchylone drzwi swojéj i dzieci sypialni przy pracy pochylonego.

Siedm gromów uderzyło w jéj serce, gdy zbudzone krzykiem rozpaczliwym matki biedne sieroty w swoich łóżeczkach instynktownie płakać zaczęły...

Co téż ona z niemi zrobiła bez ojca!...

II.

ASTRA.

Kiedy za niego zamąż wychodziła, była już panną, co się zowie dostałą; mówili o niéj, że trzyma się jeszcze bardzo dobrze i że wygląda lepiéj od swojéj młodszéj siostry, chociaż ta młodsza młodą także już nie była.

Dwie ich zostało po śmierci rodziców i gdyby nie stara wujenka, która się niemi zaopiekowała, nie byłoby się do kogo przytulić; tylko to już taki los starych ludzi, że muszą umierać.

Wujenka była starą i także umarła, na szczęście zostawiła młode panny już dorosłe i pełnoletnie, a na zabezpieczenie dalszego ich losu mająteczek, o którym rozmaicie powiadano. Jedni zmrużali znacząco prawe oko i kiwali głową: »ho, ho!« — drudzy zaś wydymali usta i mówili:

— No, jest tam coś, ale znów nie tak dużo!...

Musiało być w każdym razie dość, bo panny Anastazya i Klementyna po śmierci wujenki żyły dostatnio, ubierały się modnie i nie żałowały sobie niczego.

Wujence, przez wdzięczność, kazały postawić grób murowany i piękny pomnik na cmentarzu, a w rocznicę jéj śmierci urządzały egzekwie, na które przychodziły czarno ubrane, za woalem i przez całą wotywę klęczały na kamiennéj posadzce, modląc się szczerze i gorąco za duszę swéj opiekunki i dobrodziejki.

Widywano je zawsze razem, nierozdzielne, bez czyjegokolwiek towarzystwa; słusznego wzrostu, smukłe blondynki, ubrane zwykle jednakowo, zgrabne, nawet dość przystojne, podobne do siebie bardzo, zwracały uwagę, chociaż unikały tego o ile możności.

Pewnego razu zobaczono starszą bez siostry na ulicy, opartą na ramieniu młodego mężczyzny, ubraną w elegancki kostium pluszowy, w kapeluszu wiązanym pod brodą; wchodzili do kościoła na sumę. On niósł jéj książkę do modlenia, a podczas

całéj mszy trzymał jéj mufkę i parasolkę. Zdawało się, że był zatopiony w modlitwie, bo oczy spuszczał i unikał spojrzeń ludzkich.

Kobiety trącały się łokciami i głową pokazywały sobie nabożną parę.

— Patrzcie, patrzcie, — szeptano za plecami mężczyzny — Nastusia ma narzeczonego!...

Nie, to nie był narzeczony, to był już najlegalniejszy małżonek. Cichutko, w tajemnicy, za indultem, pobrali się pewnéj niedzieli rano w Częstochowie, a nikt nie wiedział jak, kiedy, zkąd panna Anastazya wytrzasnęła sobie tego męża... Dość, że go miała i że miała złotą, szeroką obrączkę na palcu, jak wszystkie mężatki.

Ona sama nie chciała długo wierzyć temu; jakoś się to wszystko tak prędko odbyło, jakby we śnie, nie na jawie. Przestała się nagle nazywać panną Łagięcką, a zaczęła nosić nazwisko pani Anastazyi Ratorskiej; nic się nie zmieniło napozór w panieńskiém jej mieszkaniu, oprócz tego, że wbrew przyjętym zwyczajom, wniósł się mąż do niéj, nie ona do męża. Przybrano tylko jeden pokój dla Klimci, która mu-

siała po latach trzydziestu po raz pierwszy opuścić sypialnię swéj siostry i ustąpić miejsca szwagrowi.

Byłaby się prędzéj Bóg wie czego spodziewała, niż tego szwagra; z nieba jéj spadł!

Nastusia zaś była oszołomioną; kiedy się jéj pan Julian oświadczył, oniemiała ze wzruszenia; nikt jéj o takiéj miłości nie mówił do téj chwili. Nie chciała go słuchać, bała się czegoś, a jednocześnie dziwnym urokiem pociągała ją myśl zamążpójścia; wszystkie uśpione marzenia zbudziły się nagle w jéj duszy. Zawstydziło ją jakoś to wyznanie, nie śmiała zwierzyć się z niém siostrze; wiedziała, że pan Julian jest od niéj... młodszy, a choćby nim faktycznie nie był, to wyglądał jak młodzieniaszek.

W pierwszéj chwili przychodziły jéj refleksye:

— Co ludzie powiedzą!...

Ale łakome serce domagało się swoich praw, choć spóźnionych, i tłómaczyło staréj pannie:

— Niech mówią, co chcą, byleś była szczęśliwą.

Upajała się swojém niespodzianém szczęściem, które przychodziło niewołane, jak wielka wygrana losu, dawno zapomnianego gdzieś na spodzie panieńskiego kuferka.

Przestraszyła się téj propozycyi wyjścia zamąż teraz, kiedy się już prawie wyrzekła myśli o małżeństwie; obie z siostrą tak już przywykły do swojéj samotności i życia we dwie...

P. Julian wszelako nie należał do tych, których łatwo można odsunąć; patrzał w oczy tak czule, mówił tak błagalnie, przysięgał się tak gorąco, a argumenta stawiał tak przekonywujące, był widocznie tak zakochanym pomimo różnicy wieku, że zwalczył wszystkie obawy, wszystkie uprzedzenia obu sióstr i postawił wkońcu na swojém...

— A będziesz ty mnie kochał? — pytała z jakąś trwogą i naiwnością zarazem narzeczonego panna Anastazya, kiedy jéj rękę do ust i do oczu przyciskał, obcierając nią umyślnie łzy rozczulenia z powiek.

— Byłbym ostatnim łotrem, — mówił z przejęciem — gdybym się zmienił kiedykolwiek dla ciebie!

Po ślubie, podczas miodowych miesięcy,

zakładając mu ręce na szyję, powtarzała znowu to samo wiecznie pytanie, które było jedyną troską jéj życia teraźniejszego.

— A będziesz ty mnie kochał?...

Odpowiadał zawsze jednako, z dodatkiem:

— Przecież wszystko tobie zawdzięczam!...

W istocie, tak było; zawdzięczał jéj oparcie na trwalszym gruncie, odkąd posagiem żony podparł swoje interesa. Oddała mu z całém zaufaniem połowę spadku po wujence, aby pieniędzmi obracał; znał się na tém, aplikował przecież w kantorze jednego z najsprytniejszych finansistów, po ożenieniu zaczął na własną rękę robić interesa. Szczęściło mu się, spekulacye szły pomyślnie.

Mijał rok jeden, drugi, trzeci, pieniądze same się mnożyły; w domu zamożności przybywało, ale pani Anastazya smutniała i więdła coraz bardziéj. Mąż zdawał się być tylko robieniem majątku zajęty; na nią zważał coraz mniéj, z nią przestał nawet o interesach rozmawiać, — nie znała się na nich, jego zdaniem. Nie wiedziała, co robi, gdzie bywa, czém się zajmuje, na czém stracił, na czém zarobił.

— Co ci do tego? — odpowiedział raz szorstko, gdy się go ośmieliła zapytać — byleś ty miała wszystko, co potrzeba.

I miała wszystko, to prawda, ale potrzebowała dla siebie tak niewiele... Piękne, nowe meble w dużych pokojach przykryte pokrowcami, zapełniały mieszkanie, w którém z każdym rokiem jakaś większa pustka i cisza przybywały. Nigdy prawie apartament państwa Ratorskich nie rozbrzmiewał gwarną rozmową liczniejszego towarzystwa, nikt tu nie bywał, nikogo nie przyjmowano, dom ludzi względnie zamożnych wydawał się niezamieszkałym.

Pani Anastazya, zamknięta, jak pustelnica, przechadzała się najczęściéj sama po swoich pokojach w nieobecności męża, który dnie całe do późnéj nieraz nocy spędzał za domem... Miał tyle zajęć, tyle obowiązków, tyle kłopotów zawsze na głowie!... Z natury małomówna i skryta, zamilkła jeszcze bardziéj, myślała tylko więcéj i wpadała w zadumę nawet w obecności Juliana, który zbywał ją z ukrytą niechęcią półsłówkami; widywali się, jak ludzie obcy, przy śniadaniu lub przy obiedzie.

Zażyłość małżeńska zwietrzała i rozwiodła się bardzo rychło pomiędzy nimi.

Niekiedy mąż zostawał sam na sam z żoną w salonie, rzucał się w fotel z zapalonem cygarem w ustach i udawał, że czyta gazety, lub drzemie, aby tylko słowa do niéj nie przemówić; nudziła go widocznie rozmowa z nią, odkąd przestał udawać czułość i nie potrzebował powtarzać szablonowych przysiąg o miłości. Podchodziła do niego na palcach, ostrożnie, stawała za nim i wpatrywała się w twarz jego świeżą, rumianą, okraszoną wdziękiem rozkwitającéj męzkości. Miała nieraz ochotę pocałować go zlekka w czoło, ale bała się go obudzić ze snu, traciła śmiałość względem człowieka, do którego należała, którego kochała, czując, że wzajemności nie posiada.

Wzrok jéj padał niekiedy na duże stojące zwierciadło, w którém odbijała się jéj postać obok męża i wtedy twarz jéj pochmurniała bardziéj, w oczach większy jeszcze smutek przebijał; widziała całą różnicę, jaką lata małżeństwa pomiędzy nimi uwydatniły. Każdy rok jemu dodawał czegoś, jéj odejmował. Starała się być młodą jak najdłużéj, aby go przywiązać do sie-

bie i nie tracić resztek uroku téj jesieni, która miała przez chwilę ułudę wiosny i świeżości. Jakby naprzekor — starzała się raptownie; trawił ją smutek rozczarowania i życie, coraz pełniejsze zawodów. Nie chciała przypuścić najstraszniejszych podejrzeń, że mąż ją oszukiwał, że kłamał przed ślubem, aby jéj rękę, a w ręce posag ukryty pozyskać. Była jego najlepszym rzecznikiem sama, broniła go, tłómaczyła jego oziębłość rosnącą z dniem każdym, mówiła sobie dla własnego uspokojenia:

— Zajęty taki, nie ma czasu myśléć o mnie, zawikłał się zanadto w interesa, — musi mieć kłopoty...

Zazdrości i podejrzeń wstydziła się sama przed sobą... Czuła, iż starszéj żonie nie wypada być zazdrosną, a przynajmniéj okazywać tego mężowi; nawet przed siostrą się ukrywała z tém, przed tą jedyną powiernicą zamknęła tajnię swojego serca. Bała się, aby jéj nie odpowiedziała kiedy:

— Byłaś starszą, wiedziałaś, co robisz.

Czuła się zaniedbywaną i odsuwaną przez męża, nie dzieliła żadnéj przyjemności jego życia, nie była mu do niczego potrzebną.

Przypominała sobie jednak w chwilach wielkiego zwątpienia jego słowa:

— Byłbym ostatnim łotrem, gdybym się zmienił dla ciebie! — i wierzyła mu, nakazywała sobie tę wiarę, że zaufała uczciwemu człowiekowi.

Pewnego razu zdobyła się na odwagę, robiąc mu lekki wyrzut, że ją opuszcza tak często, jakby się wstydził pokazywać z nią światu; ludzie brali go za kawalera, nie widywali ich razem nigdy i nigdzie.

— Julu, ty mnie przestałeś kochać? — spytała go poważnie, nieśmiało, smutnie patrząc mu w oczy, jak ofiara, wyczekująca wyroku.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się, ramionami wzruszył i odszedł bez odpowiedzi.

Odpowiedź miała jéj przynieść przyszłość bardzo niedaleka...

Stało się, co oddawna było przygotowaném w planach pana Juliana. Pewnego dnia — zniknął z horyzontu, zabrawszy z sobą całą gotówkę swoję i swego wspólnika, nie zostawiwszy ani słowa pożegnania, ani listu, ani świstka żadnego. Po mieście mówiono o wielkiéj defraudacyi Ratorskiego, pisano o nim we wszystkich

dziennikach, jako o jednym z najsprytniejszych oszustów, rozesłano listy gończe i fotografie jego na wszystkie strony, szukano zbiega, który na wielkie sumy zarwał mnóstwo ludzi łatwowiernych i zdemaskował się nagle, jako łotr skończony.

Uciekł, zatarłszy wszelkie ślady swéj ucieczki.

Kiedy pani Anastazyi przyniesiono tę wiadomość do domu, nie mogła w pierwszéj chwili zrozumieć, czego chcą od niéj, co mówią do niéj, o co chodzi.

— Uciekł?... kto uciekł?... mąż mój uciekł?... dlaczego miałby uciekać!... co wy mówicie ludzie!... zastanówcie się, na Boga wszechmocnego!...

Zdawało jéj się to tak nieprawdopodobném, tak straszném, że nie mogła uwierzyć wieściom, które cochwila się powtarzały z coraz gorszemi przydatkami.

Jakiś rozpaczliwy, spazmatyczny, okropny śmiech porwał ją i męczył, jak zmora; na chwilę, na jednę chwilę chciała stracić przytomność i zmysły, aby się pozbyć okrutnéj świadomości tego, co się stało, ale nawet oszaleć nie mogła, nawet zapłakać nie po-

trafiła, nawet téj zwykłéj łaski omdlenia okrutny los jéj odmówił.

Nareszcie przyszła ostatnia, dla niej najdotkliwsza wiadomość:

— Uciekł z inną!...

. . . . . .

Jest na cmentarzu mogiła w zakątku, pod murem przytulona, jakby się odsunęła nawet od umarłych, nietylko od żywych. Co jesieni czyjaś poczciwa ręka astry sadzi na niéj i wśród zielonéj darni kwiaty i lampy stawia w dzień zaduszny. Pod darnią śpi z otwartemi szklisto oczyma, z pożółkłą i wyschłą twarzą, z posiwiałemi w kilku dniach włosami ś. p. Anastazya z Łagięckich Ratorska — i prosi o westchnienie do Boga.

Mąż jéj nie wie dotąd zapewne, iż w kilka miesięcy po swéj ucieczce owdowiał; co go to może dzisiaj obchodzić — gdzieś na drugiéj półkuli?!...

III.

TRUSIA.

Spotykając się z panią Gertrudą, miałem zawsze uczucie pewnego zakłopotania; oboje musieliśmy mieć miny dwojga ludzi, którzy mają ochotę przed sobą pod ziemię się schować.

Ona nie wiedziała, co zrobić z sobą, ze swojemi oczyma, gdzie ręce podzieć, zażenowaną była, zarumienioną wyżéj uszu, cofała się przy każdém słowie, jak gdyby była puchem, a sam oddech mój powiewem wiatru; ja znowu czułem się zakłopotany jéj wystraszoną miną i skracałem o ile możności chwile naszéj rozmowy bardzo rzadkiéj i zawsze tylko przypadkowéj.

Znaliśmy się bardzo mało, ale śmiem wątpić, czy ktokolwiek, oprócz jéj męża, mógł się pochwalić bliższą znajomością z panią Gertrudą; należała do istot tak płochliwych, iż można by ją było prze-

straszyć samym zamiarem pocałowania w rękę.

Pan Zygmunt żony swéj nie pokazywał téż prawie nikomu, albo raczéj ona nie pokazywała się światu, chyba w ostatniéj konieczności. Wówczas znać było męczarnie, jakie przechodziła; przygniatały ją spojrzenia ludzkie. Żadna siła nie byłaby jéj zdolną oderwać od boku męża.

Nie była to mizantropia, ale nieszczęśliwe usposobienie, rozwinięte niestosownem wychowaniem z lat dziecinnych, które przytłumiło wszelką samodzielność, odwagę, energię w kobiecie, nie dało jéj pewności siebie, choćby téj, jaka potrzebna jest każdemu w zwyczajnych stosunkach towarzyskich.

Kto wie, czy za parawanem, za zasłoną, pod matowym kloszem nie byłaby pani Zygmuntowa czuła się swobodniejszą i bardziéj oswojoną z obcymi ludźmi; bez tego nie umiała z nimi obcować, rozmawiać, żyć, odpowiadać nawet na ich zapytania odrazu bez zająknienia i rumieńca, który jéj całą twarz oblewał, jak pensyonarce na publicznym popisie, ilekroć ją ktokolwiek zagadnął w najobojętniejszéj kwestyi.

Gość w domu, rzadkie zjawisko u państwa Zygmuntów, wytrącał ją z równowagi, przejmował dreszczem, zapędzał w najciemniejszy kąt jéj sypialni; widziałem raz, jak się do kuchni schowała przedemną, dając służącéj znaki rozpaczliwe, aby mnie odprawiła stereotypową formułą:

— Państwa niéma w domu...

Nie chciała być ze mną sama w nieobecności męża, tak ją przestraszał obowiązek gospodyni i prowadzenia rozmowy w salonie.

Jestem pewny, że za młodych lat należała do panien, z których hydrauliczną prasą nie daje się wydusić nic więcéj, oprócz: »tak« i »nie«.

Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem pan Zygmunt zdołał zyskać jéj rękę i zniewolić ją do zamąż — pójścia. Powiadano mi, iż uczynił to w sposób o tyle oryginalny, o ile obcesowy. Dorozumiawszy się, iż pannie nie jest obojętnym, wziął ją pewnego razu przemocą pod ramię, pociągnął za sobą przez cztery pokoje podwójnym krokiem do matki i stając przed nią, rzekł krótko i węzłowato:

— Błogosław pani, żenię się z panną Gertrudą.

Przez trzy dni potém nie mógł się wprawdzie zobaczyć z narzeczoną, która mu się wstydziła na oczy pokazać, ale mimo to, byli »po słowie« i zamienili pierścionki.

Jako żona, przeszła odrazu do rodzaju »zahukanych«; mąż stał się dla niéj jedyną i najwyższą instancyą.

— »Zygmuś powiedział«, znaczyło to samo, co: »Zygmuś rozkazał«.

Bez Zygmusia nic się odtąd nie obyło.

— Zygmusiu, — pytała potulnie, nieśmiałym głosem, wścibiając główkę w rannym czepeczku przeze drzwi jego gabinetu — czy rosół ma być dzisiaj z kluseczkami, czy z kaszką?

— Zygmusiu, — słychać było innym razem już przez niedomknięte drzwi tylko — czy mam wziąść bronzową, czy czarną suknię na spacer?

— »Zygmusiu, — stało znów kiedyindziéj bladém, leciuchném pismem na kartce przysłanéj przez służącą do pokoju męża, podzas ważnéj jego konferencyi z klientami — czy podać do herbaty zakąskę, czy tylko sucharki«?

Nauczyła się kroku jednego nie zrobić, rozkazu nie wydać, sprawunku nie załatwić bez aprobaty męża; z każdym drobiazgiem szła do niego, o każde głupstwo pytała, jakby o najważniejszą rzecz, w niczém poradzić sobie nie umiała sama, — stanowczości jéj brakło na tyle, by odprawić sługę, lub upiąć firanki w salonie według swojego widzimisię.

Po roku pan Zygmunt był zniecierpliwiony, po dwóch znudzony, po trzech zmęczony tą bezgraniczną biernością swéj dozgonnéj towarzyszki życia, która jak wychłostany piesek pokojowy służyła przed nim na dwóch łapkach i z kącika swego wodziła za nim oczyma, siląc się odgadnąć każdą myśl jego, każde życzenie; na nieszczęście rzadko się jéj to dobrze udawało.

Miała fatalność prawdziwą, że najlepsze jéj intencye nie trafiały do celu... Ile razy chciała się przysłużyć Zygmusiowi, tylekroć mu na przekór zrobiła. To ją onieśmielało w stosunkach z mężem, czyniło ją bardziéj niezręczną i niezaradną, niż była w istocie; pod wpływem jego wzroku traciła całą pewność siebie, kiedy patrzał na nią, nic jéj się nie udawało; nie

byłaby potrafiła dobrze nawlec igły, czując jego spojrzenie na sobie.

— To ty masz takie oczy — mówiła do męża napół z płaczem — że mi wszystko z rąk wypada, gdy na mnie patrzysz!

I wypadało, niestety; tłukły się szklanki, rozlewała zupa z talerza, gubiły guziki do mankietów, gdy mu je podawała sama. Biedna »Trusia«, jak ją mąż zdrobniale nazywał, traciła przytomność wtedy, kiedy jéj najbardziéj potrzebowała. To nie było wcale zabawne, ani przyjemne *à la longue*.

A trzeba wiedzieć, że los połączył z sobą dwa najsprzeczniejsze usposobienia w małżeństwie państwa Zygmuntów; on gorączka, raptus, niecierpliwy, żywe srebro, nie lubiący czekać na nic, trochę choleryk z temperamentu — ona powolna, niezdecydowana, flegmatyczka — ogień i woda; ogień, który ona rozdmuchiwała mimowoli, woda, którą on zamrażał jedném spojrzeniem, jedném słowem głośniéj powiedzianém.

Zamiast ośmielić żonę, oswoić, przyzwyczaić do siebie, zrażał ją, przestraszał, niepokoił coraz więcéj. Bała się go instynktownie, chociaż nie było czego. Kochał

ją i oceniał, ale nagiąć się do niéj, zastosować nie umiał.

Biedna Trusia traciła powoli zaufanie do męża; była niepocieszoną, gdy go widziała w złym humorze, we wszystkiém i zawsze poczuwając się nawet do win niepopełnionych.

Pewnego razu zgubiła pieniądze, które jéj mąż dał na wydatki domowe; była w rozpaczy, a przyznać się nie miała odwagi. Całą noc przepłakała z głową ukrytą w poduszkach; rano co chwila przemywała zimną wodą opuchnięte powieki i pudrowała ukradkiem zaczerwieniony nosek od płaczu, byle się przed Zygmusiem nie zdradzić ze swego nieszczęścia. Chciała uciec z domu; byłaby się wolała zabić, niż przyznać się mu, że zgubiła całą portmonetkę. W rezultacie sprzedała swój wyprawowy zegareczek, aby wypełnić niedobór w domowym budżecie; a wzdychałaż potém przez dwa tygodnie — wzdychała, jak po pogrzebie!

W pół roku dopiero późniéj, powiedziała mu o tém, gdy zauważył brak zegarka w jéj biżuteryach; robił jej wyrzuty, gniewał się, gderał przez cały dzień — ale

sprawę pogorszył, bo żona w tajemnicy przed nim zaciągała później dłużki na swe nadzwyczajne potrzeby, u rodziny, u krewnych, raz nawet u służącéj w jakiéjś nagłéj sprawie.

Pan Zygmunt byłby apopleksyi dostał, dowiedziawszy się o takiéj kompromitacyi w swoim własnym domu; ona miała na to jedno usprawiedliwienie i jednę wymówkę:

— Nie chciałam cię rozgniewać... bałam się powiedzieć ci o tém...

— Ależ ja nie jestem Herodem, który dzieci zabija! — powtarzał jéj w takich razach — przecież jestem twoim mężem, do mnie pierwszego powinnaś mieć zaufanie przed wszystkimi innymi.

— Powinnam mieć zaufanie do męża — mówiła sobie, jak formułę wyuczoną z książki — powinnam mieć zaufanie! Bóg i mąż, mąż i Bóg — to jedyni moi przyjaciele.

Mówiła to bez przekonania, bo w danéj chwili uciekała się tylko do Boga, którego mniej się bała, niż męża.

— Trusiu, nie bądź dzieckiem! — brzmiało jéj ciągle w uszach upominanie zniecierpliwionego pana Zygmunta. — Cóż z tego!

dzieckiem była i pozostała. Nieszczęście z taką naturą!..

Nie istniał dla niéj świat, nie istnieli inni mężczyzni poza jéj mężem. Kochała go ślepo i przywiązaną była do niego, ale i w tém uczuciu brakło samodzielności i odwagi. Za nic w świecie nie byłaby pierwsza podeszła do męża, zarzuciła mu rąk na szyję, jak to inne żony zwykły robić, nie podała ust swoich do pocałunku, do pieszczoty. Wstydziło ją to, a jednak myślała o tém często, siedząc z robótką przy oknie i spoglądając na swego Zygmusia, zajętego pracą w drugim pokoju; bała mu się przeszkodzić w zajęciu, więc prawiła mu w myślach rozmaite tkliwe czułości:

— Mój drogi, mój ukochany, mój dobry!..

Posyłała mu całusy w powietrzu, cichutko, ukradkiem, nieśmiało, aby nie zobaczył téj niemej pieszczoty. Przez całe lata tyle mu miała do powiedzenia, tyle sobie tematów ułożyła do gawędy z mężem, o tém i o owém, o bardzo poważnych i o drobniejszych rzeczach, ale zawsze coś przeszkodziło, coś jéj usta zamknęło. On

jéj nie znał dobrze, nie miał sposobności zajrzéć w głąb jéj duszy, bo się dostać tam nie mógł... zamykała się, jak mimoza, przy lada dotknięciu.

A ten los, ten szkaradny okrutnik i prześladowca nieszczęsnéj Trusi, jeszcze bardziéj ją w opinii męża obniżał; uwziął się, aby ją prześladować i ośmieszać. Tak się już pilnowała, tak uważała na siebie, tak chciała się odmienić!.. Cóż, kiedy jedna chwila psuła wszystko.

Marzeniem jéj było zostać matką; minął jednak rok jeden, drugi, trzeci, a bocian nie przylatał z pociechą. Nareszcie... wielka radość napełniła jéj serce. Miała mężowi oznajmić tak bardzo upragnioną nowinę. Od tygodnia przeszło wiedziała już o niéj, chodziła do kościoła raniutko, aby Bogu dziękować za spodziewane szczęście i wracając do domu, uśmiechała się do swoich myśli, które ją rozpogodziły, upiększyły, jak to wiosenne słońce, co błysnęło nad ziemią.

Ułożyła sobie, że w same imieniny męża powie mu poraz pierwszy, czego się może spodziewać; będzie to wiązanie dla Zygmusia. Przyjdzie do niego, położy mu

rękę na ramieniu, głowę oprze na jego piersiach, oczy sobie zasłoni i cicho, cichutko, ciszéj jak zwykle, prawie szeptem odezwie się:

— Winszuję ci ojczulku, będziemy mieli syna, a może córeczkę...

On ją wtedy wpół schwyci, uściśnie, całować zacznie i będą oboje tak szczęśliwi, jak dotąd jeszcze nie byli ani razu...

I przyszedł nareszcie ten św. Zygmunt, ale od rana nie nadarzyła się sposobność do tak uroczystych zwierzeń. Zygmuś wstał jakiś kwaśny, niewyspany, zachmurzony, miał ochotę zrzędzić — tylko jakoś niewypadało w same imieniny. Około południa zaczęli się schodzić goście z życzeniami, napływać bilety... zadzwoniono i weszła deputacya pewnej poważnéj instytucyi, któréj pan Zygmunt wielkie oddawał przysługi. Przyniesiono mu dyplom honorowy na członka protektora, wysztychowany, wyzłocony, na brystolu, z malowanemi emblematami.

Trusia schowana za portyerą, przez szparkę we drzwiach przypatrywała się uroczystéj owacyi, słuchała z wypiekami na twarzy, z bijącém sercem, dumną była

i szczęśliwą, że ma męża, którego tak honorują...

Nie mogła doczekać się chwili, w któréj znajdzie sposobność wejść do gabinetu Zygmusia — przypatrzéć się dyplomowi, powinszować mu uznania i dołączyć do upominku swoję niespodziankę.

Weszła nareszcie... z ciekawością dziecka stanęła przy biurku męża, oczy się jéj śmiały do złoconych liter, z białego brystolu blask bił na zarumienioną twarzyczkę, czytała poraz dziesiąty nagłówek: »W uznaniu zasług Wielmożnego pana Zygmunta... etc. etc.«.

Jakiś zły duch skusił ją podnieść kartę bliżéj oczu, a w téj saméj prawie chwili krew jéj zastygła w żyłach, oczy mgłą zaszły, zachwiała się na nogach... Czarna struga atramentu z przewróconego kałamarza popłynęła przez całe biurko, na papiery, na książki, na bilety z powinszowaniem, na dyplom honorowy. Zdawało się, że całe morze czarne wylało się z téj porcelanowéj skorupki, którą biedna, wystraszona Trusia, niezręcznym ruchem przewróciła.

To nie ona, to jéj fatalność, jéj zły duch prześladowca zrobił tę psotę.

Odbiegły ją wszystkie myśli naraz, została tylko jedna:

— Ziemio rozstąp się podemną!..

Ziemia się nie rozstąpiła, ale we drzwiach stanął pan Zygmunt, — nie zrzędził, nie łajał, nie gniewał się. Jedno spojrzenie na Trusię rozbroiło go zupełnie. Stała, jak posąg zrozpaczenia, blada, przerażona, oniemiała, przybita wstydem do ziemi i spoglądała na czarne plamy, na paluszki swoje powalane atramentem, z miną dziecka, które zrobiło szkodę i boi się kary.

Po twarzy, jak groch płynęły grube łzy i nieotarte spadały na falujące tłumionem łkaniem jéj piersi.

Ani się spostrzegł pan Zygmunt, jak go biedna Trusia schwyciła za rękę, jak ją do ust przycisnęła i pierwszy raz sama tuląc się do jego piersi, z płaczem zawołała:

— Przepraszam cię ojczulku!

Tak jéj się wszystko pomieszało w myślach i atrament rozlany i wiadomość o spodziewanem dziecku, i ułożony efekt na wiązanie.

Wziął ją, jak rozpłakane dziecię w ramiona i kołysząc pieszczotliwie, uspakajał:

— No, no... nic się nie stało.

Nie przestawała jednak szlochać; ocierała oczy o jego surdut, bo powalanemi paluszkami nie śmiała dotknąć się twarzy i mówiła:

— Teraz... teraz... nasz mały... gotów mieć czarne znamię na rączkach...

— Jaki mały?

— Bo ja ci od tygodnia miałam powiedzieć, że... że...

Reszta słów zginęła pod pocałunkami, które były podzięką ojcowskiéj jego domyślności...

IV.

B A B A.

Jeszczem nigdy u takiéj pani nie służyła! — mówiła o niéj każda kucharka, a przez zaciśnięte zęby dodawała: — Cholera!... haruj dzień i noc, a nie dogodzisz; wydziwia ci od rana do nocy... psuby się to sprzykrzyło, a nie dopiero człowiekowi. O, jak to terkocze... tyr, tyr, tyr!... a jakże, będę ci jeszcze frotyrowała za te pieniądze. Niedoczekanie!..

Stróż Jacenty za żadne skarby nie chciał wody nosić dla tej »utrapionéj baby z drugiego piętra«, a sąsiedzi co tydzień pędzili ze skargą do »rządcego« na panią kasyerowę, która ich uszczuplała w prawach kontraktem zawarowanych.

Ani razu pranie jeneralne nie odbyło się bez awantury o klucz od strychu, a o śmiecie na schodach codziennie bywały mniejsze lub większe utarczki z cudzemi służącemi.

W całéj kamienicy najgłośniejszą lokatorką była pani kasyerowa, któréj obawiano się, jak ognia, unikano jak zmory, a którą obmawiano we wszystkich kuchniach, od sutereny do poddasza.

Porządki w domu były jéj największém utrapieniem, ale i największą przyjemnością. Co sobota przewracano w mieszkaniu wszystko do góry nogami, myto, trzepano, obkurzano, przestawiano z jednego kąta w drugi. Od świtu hałasu i harmideru było więcéj, niż w bóżnicy.

Pan Ignacy wypędzany bywał o dwie godziny wcześniéj z domu, dzieci w lecie ekspedyowano do ogródka, w zimie i w razie niepogody siedziały zamknięte w alkierzyku, a sama pani z froterem i służącą uwijała się, jak mucha w ukropie, dogadując swoim zwyczajem i narzekając na niedołęstwo służby.

Niech Bóg broni, aby się kiedy znalazła nitka pajęczyny pod sufitem; pani Ignacowa byłaby się po murze wdrapała, aby ją zerwać, a potém przez tydzień wypowiadała biednéj Anusi:

— Za co ja ci płacę i jeść daję!... Czego sama własnemi rękami nie zrobię, to

nie zrobione. Pajęczyna po wszystkich kątach, od sufitu do podłogi nieobmiatana. U Żydów mają czyściejsze sługi, niż u mnie... Od pierwszego możesz poszukać sobie takich państwa, co lubią w śmieciach siedzieć po uszy, ale ja niechlujstwa nie znoszę!... Jeszcze czego!... cicho być, nie odpowiadać, kiedy pani mówi do ciebie.

Widok móla na wiosnę mógł do rozpaczy doprowadzić panią kasyerowę. Dżumy nie byłaby się tak przelękła, jak tego skrzydlatego drobiazgu na meblach. Na drugi dzień zastosowywano natychmiast wszystkie środki zagłady: smolakami, naftą i trociczkami czuć było przez dwa tygodnie całe mieszkanie. Pani Ignacowa sypiać nie mogła; zrywała się nocą w koszuli z łóżka i ze świecą chodziła po saloniku na zwiady, czy nie da się ułowić jakiego szkodnika, fruwającego nad kanapką utrechtem krytą i dwunastoma *item* krzesłami.

Pan Ignacy należał do »pantoflów«, przydeptanych od samego ślubu; przed żoną miał respekt nie do opisania. Zawojowała go zupełnie; wszystko, co Justysia zrobiła, było najlepsze, co powiedziała — święte. Drugiéj takiéj pięknéj, dobréj, mądréj i go-

spodarnéj żony nie było na świecie. Przed ludźmi udawał, że ma swoję wolę i że jest panem w domu, ale na cztery oczy z magnifiką pokorniał, jak student i dawał sobie prawić *pater noster*, nie śmiąc słowa wybąknąć na swoje usprawiedliwienie.

Wszystko się na nim ostatecznie krupiło. Dymiły piece w zimie — on był winien, bo z gospodarzem się nie ułożył o reparacye; przeskrobały coś dzieci — jego wina, że ojcowskiéj powagi nie używał należycie i wszystko na jéj głowie zostawiał. Odpowiedziała szorstko sługa — pan Ignacy dostał burę, czego pozwala na to, aby sobie kucharka gębę rozpuszczała; podano wysuszoną pieczeń — znosił krzyż pański:

— Wszystko przez ciebie!... Żebyś prosto z biura przychodził na obiad, nie jedlibyśmy przypalonéj podeszwy, zamiast polędwicy. Tobie to wszystko jedno, boś ty pewnie po trzech śniadaniach!

Posądzała go najniesłuszniéj. Zkądby miał na śniadania, kiedy co pierwszego musiał jéj oddawać całą pensyę i liczyć się z każdego grosza. Przyzwyczaiła go obywać się bez pieniędzy.

— Ho, ho! — mówiła do niego — ja

cię znam... za kawalerskich czasów byłeś bibosz, grosz się grosza u ciebie nie trzymał; teraz skończyło się twoje panowanie. Powiedz twoim przyjaciołom, żeby mi się na oczy nie pokazywali, bo ich miotłą za drzwi wyproszę.

Kiedy wpadła w pasyę, nie przebierała w wyrazach, rękoma machała, jak wiatrak, łokcie jéj podskakiwały w górę, na palcach stawała; mieszczańska natura przebijała z niéj zpod towarzyskiego poloru.

Uważała się za weredyczkę, uprawnioną do mówienia prawdy każdemu; wszystko chciała najlepiéj umieć i rozumieć, we wszystko musiała się wtrącić; znajomości miała bez liku, które zawiązywała sama zkimbądź przy lada okazyi. Chorowały dzieci u krawca w podwórzu, nieproszona, niewołana, poszła dowiedzieć się, czém ich leczą.

— Dajże pani pokój z proszkami — pererowała zapłakanéj krawcowéj przy łóżku — zaklajstrujesz biedactwom żołądki i cherlać będą potém pół roku. Ja pani radzę, doktora wyrzucić za drzwi, proszki za okno, bębnom dać ślazu na poty... ma pani ślaz?... nie?... to ja pani zaraz przyślę

z góry i będzie do jutra dobrze. Mnie pani słuchaj: ja swoich troje wychowałam i nie z takiéj choroby wyprowadziłam.

Dzieci wyzdrowiały po proszkach, ale pani Ignacowa przy każdéj sposobności potém przytaczała je, jako przykład swojéj własnéj kuracyi.

— A co, dzieciaki zdrowe, jak cielaki!... mówiłam, żeby mnie tylko słuchać.

Cudzemi interesami zajmowała się namiętnie. Czy co sprawić, czy sprzedać komu, czy swatać, czy rozwodzić, czy chować, czy chrzcić — pani Ignacowa do wszystkiego była gotową. Nie czuła tego, iż się ludziom sama narzuca swą osobą i usługą, a utyskiwała:

— Wszyscy do mnie, jak w dym... Każdemu zrób, każdemu poradź, wszystkim pomagaj, a mnie złamaną szpilką nikt się nie przysłuży. Nieszczęśliwa natura taka, że nikomu nie potrafię odmówić.

Pan Ignacy patrzał na żonę z podziwem, z uwielbieniem. Kiedy zaczęła mówić, a trudno jéj było milczéć długo — słuchał z nabożeństwem, oczy mu się śmiały, głową potrząsał, ręce zacierał, całą fizyognomią wtórował jéj słowom i nie mógł się po-

wstrzymać, aby »swojéj baby« nie schwycić wpół, nie podnieść w górę i nie ucałować głośno, smacznie, z entuzyazmem. Najczęściéj za taką niestosowną przerwę w połowie piorunującéj tyrady dostawał pulchną rączką żony po karku, ale to go nie zrażało do ponownych objawów czułości i zachwytu.

— Niéma, jak moja baba! — powtarzał z takiém przejęciem się, z taką szczerą prostotą i wiarą, że trzeba było zazdrościć mu tego szczęścia, jakie uczuwał w związku z kobietą, którą wszyscy nazywali nieznośną, krzykliwą i utrapioną, z piekła rodem jéjmością.

Kochał ją i przez pryzmat miłości widział żonę inną, niż była dla reszty świata. Zdawało mu się, iż wszyscy tak samo wielbić ją i podziwiać byli powinni, jak on; przyznawał jéj słuszność we wszystkiém. Trudno było powiedzieć, aby pani Justyna miała gust dobry; ubierała się, jak koczkodan, jaskrawo, krzycząco, według mody swojego wynalazku, ale pan Ignacy zapewniał z ręką wzniesioną w górę:

— Już to, jak moja babina się wysztafiruje, to niech się najpierwsza elegantka

schowa; wygląda, jakby z żurnalu wycięta. Djabeł wie, zkąd ta kobieta ma tyle gustu!... A te wszystkie jéj toalety, to mnie grosza nie kosztują.

On poczciwiec nigdy dosyć nadziwić się nie mógł, zkąd się brały te jéj kapelusze nowe, okrycia, sukienki dla dzieci, zkąd w domu przybywały rozmaite porządki, graciki, drobiazgi i pod tym względem miał słuszność przechwalać praktyczność »swéj baby«.

— Spekulant-kobieta — mówił, przymrużając jedno oko i pogwizdując znacząco — fiu, fiu, fiu!... z jednego zrobi trzy. Sprzedała moje stare buty i zrobiła sobie nowy kołnierzyk dżetowy. Założyłbym się, że potém sprzeda kołnierzyk, jak wyjdzie z mody i Julisi kupi rękawiczki. Do tego trzeba mieć osobny spryt i głowę, a ona ma!

Koledzy pana Ignacego utrzymywali, że ile razy zabałamuci się gdzie dłużéj w towarzystwie, to wracając do domu, na schodach zdejmuje już buty i cichuteńko wsuwa się na palcach do swego pokoju, aby nie obudzić śpiącéj małżonki...

To nieprawda; ona nigdy nie spała, gdy jéj Ignaś wracał zawieruszony, choćby

o świcie; zastawał ją na nogach, z gotowemi wyrzutami na ustach, z migreną, z oczyma zapłakanemi, z głową obwiązaną, albo dla odmiany z twarzą Gorgony, z piorunującém wejrzeniem, ubraną, jak do wyjścia, w kapeluszu, w okryciu, z parasolką w ręku i ze słowami:

— Twoje szczęście, żeś wrócił, miałam właśnie pójść szukać cię po mieście. Ty sumienia nie masz nademną, ani nad sobą. Precz!... zdaleka, nie zbliżaj się do mnie... Jutro się wyprowadzam od ciebie, nie chcę żyć dłużéj z człowiekiem, którym pogardzać muszę.

— Ależ Justysiu!... ależ duszko, posłuchaj, proszę cię...

— Nie, nic nie słucham; idź precz, jesteś pijany znowu.

— Kiedy, jak mi Boga trzeba przy skonaniu, nie piłem.

— Kłamiesz!... nie piłeś?... chuchnij!

I pan Ignacy przybity, zgnębiony, musiał poddawać się tej małżeńskiéj kontroli, w któréj powonienie pani Justyny wyrokowało, czy mąż wraca od kieliszka, czy od szklanki herbaty w kółku koleżeńskiém. Małą to stanowiło różnicę w dalszych kon-

sekwencyach małżeńskiéj burzy, która budziła ze snu wszystkich sąsiadów za ścianą. Nie obyło się wkońcu bez octu, bez kropli trzeźwiących, bez bieganiny do apteki i krajania kartofli w talarki, któremi spazmująca pani Justyna obkładała sobie rozpalone skronie do rana.

— Dalibóg, ja nie jestem wart takiéj poczciwéj baby! — powtarzał sobie na drugi dzień pan Ignacy, blady, niewyspany, zmęczony całonocną krętaniną i wzruszeniami. — Djabli mnie skusili grać wczoraj tego wista tak długo!... Nie wolałem ja spać spokojnie?

Na szczęście, djabli nie często kusili pana kasyera, chociaż jedyną jego namiętnością, pozostałą z czasów kawalerskich były karty. Przysięgał, że ich do ręki więcéj nie weźmie — nic nie pomogło, same mu właziły. Zapominał o ostatniéj awanturze, zapominał o Justysi, czekającéj ze świecą na schodach, siadał do stolika i wygrywał — nową awanturę w domu.

— Zobaczysz, zobaczysz, wspomnisz moje słowa — mówiła mu żona — ty się doigrasz czego!

W złą godzinę wypowiedziała; doigrał się. Skusiło go znowu raz fatalnie; spróbo-

wał szczęścia w hazard, namówili go przyjaciele, których tak instynktownie nie cierpiała pani Ignacowa, wciągnięto go w towarzystwo szulerów z profesyi, siadł wieczorem do kart, a wstał o świcie. Karta mu nie szła, przegrywał coraz więcéj, chciał się odbić i brnął coraz bardziéj, jakby za karę, że był nieposłuszny babie. Zgrany do nitki, oszołomiony, nieprzytomny, zrozpaczony, powlókł się do domu, chyłkiem, pod ścianami kamienic, jak złoczyńca. Dobrze już dniało, gdy stanął u progu mieszkania, byłby się chętnie przez dziurkę od klucza przemknął, bo jak zgrzytu łańcuchów piekielnych bał się skrzypnięcia swoich drzwi.

Nie skrzypnęły jakoś na szczęście i wszedł na palcach, ośmielony ciszą w pokojach — zamiast żony, jak zwykle, wyszła do niego zaspana i wystraszona służąca, od której się dowiedział, że pani od dwóch godzin niéma w domu — poszła go szukać.

— Aus kapelusznik!

Te dwa wyrazy tragikomicznie wyrwały mu się z ust na wiadomość o ryzykownym kroku pani Justyny. Miał ochotę przeżegnać się i odmówić litanię za konających — ze strachu.

W godzinę później, z zamkniętéj sypialni państwa dochodziły odgłosy dziwnego dyalogu; zdawało się, że syczący boa rozmawia z beczącym barankiem.

— Nie kłam, nie ukrywaj łotrze!... grałeś?

— Bóg świadkiem duszy mojéj...

— Zaraz powiedz prawdę — znów grałeś; ileś przegrał?... dziesięć?... dwadzieścia?... dwadzieścia pięć?

— Ach, Justysiu, żeby choć sto...

— Sto?... ssto?...

— Więcej, niestety!...

— Dwieście?... żeby cię Pan Bóg skarał, człowieku!

— Żeby dwieście!

— Jezu Nazareński!... więcej niż dwieście?... może trzysta?... trzyssta?...

— Trzysta piętnaście — i to nie moich.

— Trzysta pięćdziesiąt!!!

— Nie, tylko trzysta piętnaście, — poprawił skwapliwie głos delikwenta — Justysiu, tylko trzysta piętnaście.

Co daléj się działo za drzwiami małżeńskiego trybunału, o tém lepiéj zamilczéć na wieki; faktem jest, że drugiego dnia pan Ignacy nie był po raz pierwszy w biurze od lat piętnastu, ale pieniądze przegrane znalazły

się w dużym, czerwonym pugilaresie pani Justyny, o którego istnieniu dotąd małżonek nawet nie wiedział.

»Baba« składała w nim oszczędzone co miesiąc grosze na czarną godzinę, w tajemnicy przed mężem.

Mjejsce uszczuplonéj gotówki zajął oryginalny skrypt następującéj treści z własnoręcznym podpisem pana Ignacego:

»Żonie mojéj winien jestem rs. trzysta piętnaście, które haniebnie przegrałem w karty pierwszy i ostatni raz w życiu, — pokrzywdzając biedne moje dzieci. Dług ten święty obowiązuję się pokrywać coroczną gratyfikacyą, jaką mi wyznaczą w biurze, zrzekając się zupełnie wszelkich pretensyj do moich dochodów w gotówce. Ostatni huncwot będę, jeżeli słowa nie dotrzymam«.

Pan Ignacy miał łzy w oczach, gdy ten skrypt podpisywał, ale w duszy powiedział sobie:

— Dalibóg, moja baba ma rozum! — i byłby ją znowu ucałował po swojemu, gdyby się nie bał...

V.

KOMEDYANTKA.

Toż to było hałasu na drugi dzień po ich ślubie!..

Całe miasto mówiło o tém, jakby o fakcie europejskiéj wagi.

— Wiecie, Borowicz się ożenił!..

— Kiedy?

— Wczoraj rano, o szóstej.

— I z nią?

— A z nią.

— Czy być może!..

Nikt uwierzyć nie chciał odrazu.

Borowicz się ożenił?.. no — no!.. przecież to się lata ciągnęło, wlokło, rwało, nawiązywało nanowo i w końcu jednak doszło do ślubu. Ktoby się był spodziewał, że to się tak zakończy. Patrzcie, pobrali się...

A byli tacy, którzy się zakładać chcieli, że Borowicz skręci. Inni utrzymywali, że

ona nigdy za niego nie wyjdzie, że sceny nie porzuci; alboż jéj źle było na scenie!.. była przecież prymadonną, miała stanowisko, byt niezależny, talent uznany. Przepowiadano jéj, że zajdzie wysoko przy pracy i talencie. Mogła zajść, czemu nie!.. wszystkie warunki miała potemu, młodość, wdzięki, temperament i głos, głos śliczny, dźwięczny, pełny, który przemawiał z duszy do duszy.

Publiczność ją ceniła, patrzała na jéj wzrost, była świadkiem jéj artystycznéj karyery, przywiązała się do niéj i do jéj talentu. Jeden zarzut miała jéj tylko do zrobienia, ale ten nie dotyczył artystki. Po co się wdała w ten stosunek z młodym Don-Juanem, który sobie reklamę robił ze swoich tryumfów sercowych. Znajomość z Borowiczem psuła jéj opinię; szeptano sobie na ucho rozmaite szczegóły o nich obojgu.

Aktorkom wiele wolno, ale téż świat za dużo się niemi zajmuje, choć im wiele wybacza; uważa się obowiązanym do kontroli nad każdą gwiazdą sceniczną i pilnuje argusowém okiem, czy która upada, czy się trzyma, jaką drogą krąży i dla-

czego. Jeśli nie wie wszystkiego na pewno, to się domyśla. Świat ma w sobie naturę starego kawalera, lubi ploteczki i nowinki, zbiera pikantne anegdoty i jest ciekawym więcéj, niż mu wolno i niż wypada; wszystko musi podpatrzéć, podsłuchać, podejść. Do buduarowych tajemnic ma szczególniejszą słabość, a do żadnego buduaru nie wchodzi tak bez ceremonii, jak do buduaru artystki. Zdaje mu się, że kupując bilet do teatru, kupuje także wejście za kulisy, do garderoby, do domu téj lub tamtéj pani z afisza i ma prawo zaglądać przez szparę, przykładać ucho do dziurki od klucza, a potém bawić się ich kosztem. Zapomina, że aktorka, to także kobieta, któréj się pewne względy należą.

Stary plotkarz, ten świat...

O niéj i o Borowiczu mówiono tyle, co o innych jéj koleżankach. Wiedziano, że się poznali gdzieś na maskaradzie, że się między nimi romans zawiązał, że bywał u niéj codziennie, czasem dwa razy na dzień, że ją po każdém przedstawieniu odprowadzał do domu, nawet pod rękę, gdy noc była ciemniejsza. Każdy bukiet, każdy kosz z kwiatami liczono i ze zna-

czącym uśmiechem powtarzano sobie w krzesłach, w lożach, na parterze, nawet na galeryi:

— To od niego, od Borowicza.

On sam przez próżność starał się, aby o nich jak najczęściéj mówiono; pochlebiało mu to, że najpiękniejsza artystka była nim zajętą i że mu do niéj pewne prawa publicznie przyznawano, tém bardziéj, że nikt inny takiemi względami pochwalić się nie mógł.

Kiedy występowała na scenie, siadywał rozparty w pierwszym rzędzie krzeseł, lub w loży; spoglądał na publiczność z miną zarozumialca, który chce powiedzieć:

— Ta Aida, to moja niewolnica, a te perły w jéj uszach — jak sądzicie, od kogo pochodzą?..

Co tydzień nosił w pugilaresie inną jéj fotografię i pokazywał znajomym, przyjaciołom, kolegom w klubie, mówiąc:

— Cóż?.. śliczna kobieta, prawda?.. żebyście ją jeszcze widzieli w negliżu!..

Co ją właściwie przywiązywało do człowieka, który ani jéj uczucia ocenić, ani poświęcenia uszanować, ani drażliwości oszczędzić nie umiał, Bóg raczy wiedzieć.

Serca kobiet bywają zagadką, serca artystek całemi sfinksami.

Paniczyk był, bogatych miał rodziców, którzy Benjaminkowi swojemu pozwalali marnować czas i pieniądze, patrzali przez palce na to próżniacze życie trutnia, mówiąc sobie:

— Niech się wyszumi.

Lata całe tak trwało; nareszcie gruchnęła niespodzianie wiadomość:

— Borowicz się ożenił!..

Jednocześnie na afiszu w rubryce urlopowanych artystek ukazało się nazwisko pn. Felicyi Stalewskiej; poufnie nazywano ją za kulisami i u publiczności Stalką.

Stalka za mąż wyszła... Coś tam piąte przez dziesiąte przebąkiwano w ostatnich czasach o tém małżeństwie, ale to nie było po raz pierwszy. Co roku te same pogłoski powstawały i jak plewa z wiatrem ginęły niesprawdzone. Wiedziano, że starzy Borowiczowie prędzéjby się w grobie żywcem zamurować kazali, niżby swemu Benjaminkowi pozwolili zaślubić aktorkę, śpiewaczkę, — także!.. cóż to za partya dla ich syna?..

Taka Stalka dobra na fantazyę pańską,

ale na żonę, ślubną żonę, którąby weszła do uczciwéj rodziny — jeszcze czego!.. Artystka, no to cóż?.. Na scenie można patrzéć na nią przez lornetkę, ale po za sceną tylko przez ramię.

Biedna dziewczyna, ona nie wiedziała nawet, jaką zbrodnię popełnia, godząc się na potajemny ślub z człowiekiem, którego pokochała, któremu zaufała, który potrafił ją przekonać, że ta konieczność jest jedynym środkiem do ich wspólnego szczęścia.

— Wobec faktu dokonanego, — mówił jéj — rodzice będą musieli ustąpić i pobłogosławić.

— A jeśli nie ustąpią?

— Nie bój się, zanadto mnie kochają starzy.

— A jeśli... przeklną?

Odpowiedział jéj śmiechem.

— Co ci téż po głowie chodzi!.. Kto w dzisiejszych czasach przeklina!.. To średniowieczne obyczaje.

Rodzice nie przeklęli, ale zamknęli drzwi przed młodą parą, która przyszła, aby się im do nóg rzucić i wyznać wszystko w pokorze.

— Starszego pana niéma, — krótko i węzłowato oświadczył Benjaminkowi w progu rodzicielskim służący, a starsza pani powiedziała, że nie przyjmuje, chyba pana samego.

Stalce nogi się załamały w kolanach, gdy to usłyszała, oparta na ramieniu swojego męża; szła tu, jak na Kalwaryę, z bijącém sercem, ze łzami w oczach, przygnębiona, strwożona, bez duszy, jak pokutnica, chciała przebłagać za błąd swój, chciała najpokorniejszą zostać służebnicą téj dumnéj matki, któréj syn ośmielił się ją zaślubić i jak człowiek honoru spłacić dług uwodziciela. Nie było poświęcenia, na które nie byłaby się zgodziła z ochotą, z rozkoszą, z niemém poddaniem się losowi. A teraz...

Służący drzwi zatrzasnął i zostawił małżonków za progiem.

Przejął ją jakiś lęk nieopisany, jakiś wstyd i upokorzenie bez granic, zdrętwiała w pierwszéj chwili i musiała się o mur oprzéć, czując, że wszystko dokoła niéj w szalonym wirze się obraca.

— Cóż teraz będzie? — jęknęła głosem ofiary, wprowadzonéj na rusztowanie, pod-

nosząc duże swe, załzawione, bolesne oczy na męża.

Pomyślał chwilę, skrzywił się z grymasem i podając jéj ramię, rzekł spokojnie:

— Nic, pójdziemy do domu.

Ten spokój jego dodał jéj trochę otuchy; uczepiła się jego ramienia i szepcząc stłumionem łkaniem:

— Widzisz, widzisz, cośmy zrobili! — powlokła się za nim przybita, zmieniona do niepoznania.

Radykalny środek się nie udał. Bóg mógł taki związek pobłogosławić, ale Borowiczowie nigdy. Benjaminek przerachował się, licząc za wiele na pobłażliwość i miłość swoich »starych« i na znaczenie »faktów dokonanych«.

— Straciliśmy syna! — wołała patetycznie Borowiczowa — ta komedyantka zabrała nam nasze dziecko jedyne.

Jedyne dziecko nie tak tragicznie zapatrywało się na swój los...

Kiedy brnąć, to brnąć po uszy, powiedział sobie Benjaminek po ożenieniu. Bawiła go więcéj, niż przestraszała nowa sytuacya, w któréj się znalazł. Lekkomyślność z cynizmem dodawała mu humoru.

— Pójdziemy na udry! — mówił do żony — to nie może potrwać zbyt długo.

Nie tracił fantazyi i nadziei. Dobra mina go nie opuszczała. Zrezygnowany był na wszystko w jednéj chwili.

— Wielka rzecz!.. obejdziemy się bez rodziców, skoro cię przyjąć nie chcą, — powtarzał — trzeba starym pokazać, że ich łaski nie potrzebujemy.

W głębi duszy wszelako liczył na to, że starzy zmiękną, że się dadzą udobruchać; postanowił przeczekać pierwsze oburzenie rodziców. Tymczasem zajmowała go niezwykłość nowego stanu. Miał żonę, uwierzyć temu nie mógł...

Zdawało mu się, że to wszystko tak po dawnemu zostało, że w stosunku jego z Felicyą nic nowego nie zaszło; tykali się tak samo, jak dawniej, przychodził, rozsiadał się, jak we własnym domu, gospodarował, jak u siebie, potém wracał do swego kawalerskiego mieszkania, które jeszcze zajmował.

Dawniéj zostawał u niéj niekiedy na obiedzie, gdy go zaprosiła, teraz codziennie razem siadali do stołu. Nie wielka zmiana... Więzy małżeńskie nie ciężyły

mu wcale; gdyby nie obrączka ślubna na palcu, nie wiedziałby, że jest żonaty.

Tak minął tydzień, jeden, drugi trzeci... Drażniła go tylko blada, zmizerowana i smutna twarz Felicyi, jéj oczy zapłakane nieustannie, jéj milcząca melancholia. Wyrzucał jéj, że za poważnie bierze tę sprawę i miodowy miesiąc zaprawia goryczą i łzami.

— Moja droga, warto się było pobrać, aby teraz stękać, wzdychać i płakać, — mówił do niéj z wyrzutem. Słaba jesteś, codziennie gorzéj wyglądasz, powinnaś się oszczędzać. W rezultacie nic się ostatecznie nie zmieniło w naszém położeniu. Kiwała głową i łzy ocierała rękawem muślinowego szlafroczka.

— Tak, tak, — mówiła żałosnym głosem — nic się nie zmieniło, więc dlaczegóż mi odmawiają prawa i tytułu twéj ślubnéj żony, a do końca życia pozwalaliby mi być twoją... kochanką!..

Nie lubił tych refleksyj; raz jej zniecierpliwiony powiedział po prostu:

— Moja droga, nie bądź nudną; zrobiłaś się teraz nieznośną płaksą, dawniej miałaś taki wesoły humor.

Któregoś dnia przyszedł zły, zirytowany,

wzburzony; zdawało mu się, że kilku znajomych odwróciło się od niego na ulicy, a pani prezesowa, którą z córką spotkał w powozie, udała, że nie widzi jego ukłonu.

Mówił jéj o tém, nie zastanawiając się, jak boleśnie dotyka ją swemi słowami; ona czuła przecież, że to przez nią...

Wszystkie próby pojednania się ze »starymi« pełzły na niczém, odesłali mu bez odpowiedzi list, w którym po raz pierwszy upomniał się o pieniądze. Musiał się upomnieć, bo cały zapas gotówki wyczerpał się; na tę pomoc liczył z pewnością. Miłość miłością, ale spadek spadkiem; tego mu przecie starzy zaprzéć nie mogą.

Pewnego dnia, stary adwokat ojca bąknął coś o »wydziedziczeniu«. Borowicz zadrżał i zbladł, pierwszy raz taka ewentualność przyszła mu na myśl.

— Niech spróbują! — pogroził im, opowiadając sumiennie Felicyi rozmowę z adwokatem.

Niczego jéj nie oszczędzał w swéj otwartości. Dorozumiała się, że było z nim krucho; zastawiła wszystkie swoje klejnoty, wszystkie benefisowe podarunki, sprzedała fałszywe perły i granatowy garnitur sce-

niczny. Żyli z tych pieniędzy czas jakiś, ale potém znowu zabrakło... Pozbyła się kilku kosztowniejszych sukien, kilku kostjumów, aby tylko mężowi nie wspominać o pieniądzach; nawet go nie zdziwiło, zkąd miała na wydatki i na wyżywienie całego domu. Zdawał się nie wiedzieć, że gaży dawno już nie brała, bo kontrakt z dyrekcyą rozwiązać musiała po zamążpójściu... Ułożyli to sami oboje przed ślubem; zgodziła się przecież opuścić scenę, aby tém łatwiéj przebłagać rodziców.

Teraz z kolei on zaczął tracić humor, był rozdrażniony, zamyślał się głęboko, siadywał przy oknie z głową opartą na ręce i wzdychał:

— Mój Boże, mój Boże!.. at głupstwo się zrobiło; wszystko z twojéj winy, potrzebowaliśmy się tak spieszyć!.. można było starych wpierw uprzedzić, ugłaskać, przygotować, ale nalegałaś, napierałaś... co nagle, to po dyable.

Spojrzała na niego z bolesném zadziwieniem:

— Jakto, wiedziałeś przecie, że musiałam... dłużéj niepodobna było się ukry-

wać, — wtrąciła, spuszczając oczy z rumieńcem na licach.

Ręką machnął niecierpliwie.

— At, wielka historya! korona by ci z głowy nie spadła.

Wyrzekł to szorstko, opryskliwie, z widocznym żalem do niéj.

— Zrobiłem dla ciebie większe poświęcenie, — mówił daléj — ja postawiłem całe życie na kartę, zerwałem z rodzicami, ze światem, z opinią, a teraz co nam obojgu z tego wszystkiego!.. To zawsze tak, kiedy człowiek bez namysłu co robi.

Otworzyła usta, aby mu odpowiedzieć, ale słowa jéj uwięzły w gardle; przejrzała za późno, jak bardzo zemścił się na niéj jeden fałszywy krok w życiu.

Zacięła wargi i milczała, podczas gdy on ośmielony jej milczeniem, rozwodził się daléj nad swoim zmarnowanym losem, odgrażał, że sobie w łeb będzie musiał strzelić, jeżeli takie »psie życie« dłużéj potrwa.

W końcu wziął kapelusz, włożył go na starannie uczesaną głowę i nie spojrzawszy na żonę, wciśniętą w kątku kanapy pod lustrem, bladą, drżącą na całém ciele,

wstrzymującą gwałtownie łzy, które się jéj do oczu cisnęły, — wyszedł bez słowa pożegnania.

Za drzwiami mruknął jeszcze do siebie:

— Za jedno głupstwo całe życie pokuty!.. *Sacrebleu!*

. . . . . .

W niespełna dwa lata później, duży afisz na bramie oberży »pod krokodylem« w zapadłém miasteczku galicyjskiém zapowiadał świetne przedstawienie wędrownéj trupy pod dyrekcyą p. Anastazego Słomkiewicza. Pan dyrektor względom szanownéj publiczności polecał szczególniéj słynną operetkę: »Gasparone« czyli »Włoscy Bandyci«, w któréj rolę prymadonny wykonać miała była artystka opery w X. p. Felicya Stalewska.

Biedna Stalka powróciła na deski, a Benjaminek na łono rodziny. Podobno starania o rozwód już rozpoczęte... Żyli z sobą tak krótko, zaledwie kilka miesięcy.

Mama Borowiczowa nie dała się nawet widokiem wnuka przebłagać...

— Co też to za wnuk z »komedyantki«!..

VI.

MUSZKA.

Pozwól pan, że pana przedstawię mojéj żonie; Musieczko, pan...

— O, bardzo mi przyjemnie, znamy się przecież z widzenia oddawna. Brakowało tylko téj małéj ceremonii pomiędzy nami. Niechże pan siada, bardzo proszę.

Usiadłem; piękna pani Musia miała szczególniejszy dar zjednywania sobie ludzi odrazu. Jeżeli powiadam »ludzi«, to rozumiem pod tém tylko samych mężczyzn w tym wypadku. Pani Musia bowiem kobiet nie lubiła i w kobiecém towarzystwie rzadko ją widywano; nudziły ją, nie umiała z niemi rozmawiać, czuła się krępowaną wobec tych »plotkarek«, za jakie uważała wszystkie przedstawicielki swéj własnéj płci... Ale za to wśród mężczyzn była w swoim żywiole, przybywało jéj humoru, wesołości,

wdzięków, starczyła za dziesięć pięknych i rozmownych kobiet, umiała bawić się i zajmować sobą wszystkich zarówno.

Stanowczo należała do rodzaju kokietek, ale to rodzaj, jak wiadomo, najbardziej interesujący; kokietowała wszystkiém, począwszy od nóżki tak obutéj i tak zgrabnéj, iż można było niby z kości mamuta odtworzyć sobie z niéj w wyobraźni najrozkoszniejszą całość, a skończywszy na nalepianych pieprzykach i oczach, umiejących mrużyć się tak filuternie przy uśmiechu i rzucających spojrzenia tak wymowne, że otwierały całe niebo nadziei dla biednego nowicyusza, który nigdy jeszcze u progu takiego raju nie stawał, przyprowadzany za nos przez figlarną kusicielkę.

Mówiono o niéj krótko: »szykowna kobieta«. Na ulicy odwracano się za nią, przystawano, aby się jéj lepiéj przypatrzyć, z taką elegancyą ubierała się, chodziła, poruszała, ale w tém wszystkiém znać było umyślne starania zwrócenia uwagi na siebie. Każda szyba lustrzana w magazynie, każde zwierciadło na wystawie sklepowej dla pani Musi było tém, czém kropla wody dla słońca; musiała się w niém przyjrzéć,

błysnąć i uśmiechnąć z zadowoleniem do siebie.

Chcąc się podobać wszystkim, podobała się sobie najbardziéj. Co tylko moda wymyśliła najdziwaczniejszego, pani Musia wkładała odrazu na siebie. Inne kobiety wzruszały ramionami, ale w duszy zazdrościły jéj tych kapeluszy najświeższego fasonu, tych toalet krzyczących, rękawiczek po łokcie, parasolek zawsze do garnituru dobieranych i... i tego męża, który dostarczał wszystkiego.

Najpierwszym bowiem wielbicielem i niewolnikiem swéj pani, był pan Teofil, pospolicie Filusiem nazywany.

Trzeba było słyszéć ten akcent osobny, z jakim pani Musia wymawiała imię swego męża. Zdawało się, że wołając go za każdym razem, gwiźnie lub cmoknie w dodatku, jak na ulubionego szpica, spuszczonego ze sznurka. Filuś biegł posłuszny, nadskakujący, grzeczny; ani poznać było po nim, iż sześć lat w téj małżeńskiéj służbie przetrwał, gotowy zawsze na rozkazy pięknéj małżonki.

Powiadano, że Filuś był głupi, ale powiadano także, iż bujne blond włosy pani

Musi były przyprawiane, a ciemna brew czerniona, a oczy podkreślane tuszem, a usta często karminem zabarwione.

Czego ludzie nie powiedzą!...

O niéj mówiono więcéj, niż o którejkolwiek, bo zanadto zwracała uwagę, ale sama tego chciała.

Pan Teofil był okrągłym, rumianym, uśmiechniętym blondynem, włosy przyczesywał gładko, kołnierzyki miał głęboko gorsowane, jakby umyślnie chciał odsłaniać białą, pulchną, toczoną szyję, na któréj niebieski lub czerwony w krateczki krawat, zawiązany z pewną fantazyą, zdradzał gust byłego kantorowicza. Słodki był i uprzejmy do przesady, w ruchach starał się zachowywać lekkość kupczyka z wielkiego magazynu, który przyzwyczaił się jednym rzutem rozwijać sztukę materyi za ladą swego pryncypała, albo z błyskawiczną szybkością mierzyć na metry różnokolorową pasmanteryę. Jestem pewnym, że się uważał za wzór elegancyi i dobrych manier, krygując się i suwając nogami z charakterystycznym szelestem po posadzce, a zawsze z miną *commis voyageur'a*, który nie pozwala się odprowadzić do progu i za

drzwiami jeszcze powtarza komplementa na pożegnanie, po zrobieniu dobrego interesu.

Mówiono o nim, że zakłada jakieś wielkie przedsiębiorstwo akcyjne, ale że nie może wycofać jakichś kapitałów spadkowych swojéj żony i tymczasem wolno praktykuje »zajmując się interesami«, które musiały mu się dobrze opłacać, sądząc z całego trybu życia i pewnéj rozrzutności.

Pierwsze poznanie z panią Musią oblejśmy odrazu szampanem; rzecz bowiem działa się w gabinecie jednéj z większych restauracyj. Naprzeciw lustra w złotych ramach, między dwoma kinkietami gazowemi, przy stole zastawionym sutą kolacyą, siedziała nadobna gospodyni téj uczty, bez kapelusza i rękawiczek. Na pulchnych jej paluszkach połyskiwało mnóstwo pierścionków, na rączce odsłoniętéj po łokieć koronkowym rękawem pobrzękiwały srebrne i złote *porte-bonheur'y*, na piersiach woniały świeże hyacynty, na lewym policzku czernił się pieprzyk, w pudrowanych włosach sterczał duży szyldkretowy grzebień, na kolanach leżał ogromny wachlarz, którym piękna pani zasłaniała się i wachlo-

wała na przemian w pewnych szczególniejszych momentach naszéj rozmowy.

Towarzystwo było nieliczne, ale ożywione; przedstawiono mi pana X. adwokata, pana Y. doktora, p. Z. kapitalistę, syna bankiera i dwóch jeszcze młodzików, bez wyraźnego stopnia cywilnego zawodu.

Byłem odrazu wciągnięty w tok libacyj, które młodzieńcom zaczerwieniły policzki kolorem dojrzałych pomidorów, a całemu towarzystwu rozwiązały język i roziskrzyły źrenice.

Filuś krzątał się, jako mistrz ceremonii i podczaszy całego stołu.

— Pozwoli pan kieliszeczek szampana? — mówił do mnie. — Muszka się z panem trąci... Musieczko, pilnujże swego sąsiada!... Twoje zdrowie przecież wypić musi. My tu już przy trzeciéj butelce jesteśmy, hej! garson, zamróż-no tam jeszcze białego.

Pani uśmiechnęła się czarująco.

— Mam nadzieję, — rzekła — że o ten toast sama pana prosić nie potrzebuję, powinniśmy w zgodzie zacząć naszę znajomość.

Adwokat spojrzał na mnie wzrokiem ukłó-

tego w ogon bazyliszka, a bankierowicz przesiadł się na kanapę; doktor tylko obłupywał raki z miną smakosza, obojętnego na wszystko, co się dokoła niego działo w tej chwili.

— Jak się to stało, że tak późno mam przyjemność poznać pana? — pytała dalej piękna pani — to dziwna, żeśmy się nie spotkali nigdzie dotychczas.

— Los mnie pokrzywdzał widocznie — odpowiedziałem banalnym komplementem.

— My prawie co wieczór gdzieś bywamy; kółko nasze zbiera się codziennie na kolacyi, raz tu, to gdzieindziej.

— W restauracyi?

— A tak; mąż mój kroku bezemnie nie zrobi... Powiada, że lubi knajpkę, a ja się panu przyznam w sekrecie, że i ja ją lubię. Nie uważa pan, że to zupełnie co innego, niż w domu; jakoś swobodniej, weselej... więcej rozmaitości.

— Dla pani musi to być nowością?

Roześmiała się głośno.

— Co pan mówi!... nowością!... Ależ my z mężem łobuzujemy się tak prawie od naszego ślubu — i tu, i zagranicą. Ja

żałuję tylko, że nie urodziłam się mężczyzną; byłabym wybornym kolegą.

— Śmiem wątpić jednak, czyby się pani chciała dzisiaj zamienić na naszę płeć...

— Wie pan, przez cały dzień — nie, ale wieczorami, kto wie, czy nie wolałabym być mężczyzną.

Przytknęła do ust kieliszek szampana i sączyła go powoli, smakując kroplę po kropli i uśmiechając się do swoich myśli.

Bankierowicz, który podsłuchywał bacznie naszę rozmowę, nachylił się ku niéj i szepnął jéj coś pocichu do ucha; uważałem, że przypadkowo, czy umyślnie musnęła go swojemi włosami, ale po chwili niby oburzona, odsuwając się zawołała:

— Filuś! proszę cię, weź sobie Żuża, bo się robi nieznośnym.

— Mój Żużu, bądź grzecznym, bo ci nigdy nie pozwolę usiąść przy mojéj żonie, — upominał mąż z udaną powagą przyjaciela, który chciał powstać z kanapy.

Biała rączka sąsiadki zatrzymała go zręcznym uściskiem pod serwetą, a przelotne spojrzenie zdawało się mu mówić: »zostań, nie zważaj, to żarty«.

Odkorkowano świeżą butelkę. Szampan

znów się zapienił w kieliszkach. Doktor nałożył sobie raków na talerz po raz trzeci, wołając:

— Marnujecie dary Boże, marnujecie dary Boże, nie wiecie, co dobre; słyszeliście, co jeden wielki mędrzec powiedział o raku i kobiecie?...

— Nie chcemy wiedzieć, nie chcemy — przerwała pani Musia. — Od doktora niczego dobrego nie można się spodziewać. Masz konsyliarzu cały półmisek, jedz i nie mów tylko.

Adwokat siedział ponury, jakby ani jednéj sprawy w życiu nie wygrał i zdawał się być cały zatopiony w wygładzaniu duńskich rękawiczek swojego *vis-à-vis*.

Filuś całował się z dwoma młodzieńcami, których pomidorowe rumieńce przechodziły w kolor okwitającej piwonii.

— No, moi drodzy, jak mnie kochacie, zdrowie Muszki wypijecie!... no, ostatnie zdrowie mojéj żony, moi drodzy!... bo się pogniewamy.

Starszy z nich, obejmując przyjaciela za szyję, mówił mu w ucho głosem daremnie przyciszonym:

— Filuś, Filuś!... wiesz ty, za zdrowie

twojéj żony... wiesz, jabym się napił... petercymentu. Niech cię kaci... Co za śliczna kobieta!

— Prawda?... a widzisz!...

— Śliczności kobieta! cukierek!

— Prawda?

Pani Muszka udawała, że nie słyszy ich rozmowy i zachwytów.

Mąż rozrzewniony pochwałami, przyszedł ją z czułością w rękę pocałować, jak gdyby chciał jéj podziękować za to, że jest jego żoną.

— Muszka, napijesz się likieru do kawy? — pytał ją głosem słodszym od patoki. — Moja droga, kropeleczkę... Dobrze?

— Ach, nie, nie, już widzę, że się znów na pijaństwo zanosi. Będziecie potém głupstwa wygadywali... Nie chcę!

Upadła mi serwetka pod stół; schylając się po nią, dostrzegłem, że but pana adwokata umykał w wielkim pośpiechu od złocistego pantofelka mojéj sąsiadki.

— A hm! — pomyślałem — więc pan bankierowicz ma rywala; bywają jednocześnie rzeczy za stołem i pod stołem, o których się filozofom nie śniło.

Atmosfera gabinetu rozgrzewała się co-

raz bardziéj; komuś przyszła do głowy myśl usiąść do fortepianu i zagrać walca, w kilka chwil potém pani Muszka wirowała w objęciach adwokata, późniéj Żuża, uśmiechającego się coraz dwuznaczniéj, potém młodego człowieka z ceglastemi rumieńcami, wkońcu z Filusiem, korzystającym z praw małżonka, który promieniował rozkoszą i zadowoleniem.

— A co? jak ona tańczy! — mówił do mnie, podchodząc w lansadach po wachlarz dla ubóstwianéj Muszki, a po chwili słyszałem ten sam wykrzyknik zachwytu, powtarzany doktorowi z dodatkiem:

— Wiesz konsyliarzu, nie dlatego, że moja żona, ale powiadam ci...

Doktor najedzony i opity, jak bąk, głową kiwał zamiast odpowiedzi i uśmiechał się ironicznie, a widząc mnie stojącego w drzwiach od kurytarza, podszedł do mnie, oparł się ciężko na mojém ramieniu i spytał:

— No, i jakże się to panu podoba?

— Co?

— Et, nie udawaj franta; przecież masz oczy i podobno z zawodu jesteś obserwatorem. Przyszedłeś tu wzorki zbierać, masz

typ gotowy, bierz i opisuj. To głupiec dopiero, prawda?

— Kto?

— No któżby?... Filuś. On myśli, że dlatego, iż piłem jego wino, to mu prawdy nie powiem?... Właśnie *in vino veritas*. Cóż mi na nim zależy!... Ale ja mu kiedy palnę prosto z mostu. Bałwan jest; dlatego, że mu taki Żużu podpisze weksel na tysiąc rubli, a jutro inny się da złapać, marnuje kobietę. Czyż to dla niej taka zabawa!... w domu dwoje dzieci na łasce sług, nieporządki, że aż wstyd, dwóch talerzy niéma z jednego garnituru, a co wieczór knajpka, biba, kolacyjka... Nie patrz się pan na mnie takiemi wyłupiastemi oczyma... ja wiem, co mówię, a wolno mi tak mówić, bo płacę do spółki za jedzenie, rozumiesz pan... Znałem ją, jako pannę jeszcze; dzisiaj poznać nie mogę. Ot, co z niéj zrobił!... ja mu to powiem kiedy, zobaczysz.

Pani Muszka przy fortepianie śpiewała kuplety francuskie z zacięciem operetkowéj śpiewaczki; z jednéj strony klęczał u jéj kolan Żużu i całował ją ukradkiem w ramię, z drugiéj stał Filuś i wtórował żonie

do śpiewu, przechylając głowę, jak słonecznik wiatrem kołysany.

Oparty o fortepian adwokat wdychał woń hyacyntów, które od gorsu tancerki dostały się do jego rąk...

Dwaj młodzieńcy siedzieli naprzeciw siebie z rękoma w kieszeniach i głupkowato uśmiechali się do Filusia.

— I to tak co wieczór bywa! — z oburzeniem powtarzał mi podchmielony dobrze stary cynik ze szkoły Eskulapa — zobaczysz, czém się to skończy.

Zobaczyłem już; przed tygodniem spotkałem panią Muszkę, wchodzącą do tego samego gabinetu w towarzystwie dwóch młodych ludzi, nieznajomych mi zupełnie.

Filusia między nimi już nie było; podobno wyjechał zagranicę w ważnych interesach...

VII.

WALENTOWA.

Suteryna była wilgotna, ale obszerna; dwa okna wychodziły z niej na podwórze asfaltowane, duże, otoczone w czworobok wysokiemi oficynami.

Światła nie wiele do niéj się dostawało przez obszerne szyby, powietrza również mało, tyle tylko, aby oddychać można było trzem osobom, które sklepioną izbę zamieszkiwały.

W pogodne dni otwierano okienka. Wtedy trochę słonecznych promieni wpadało do suteryny, ale razem z niemi zjawiała się para burych kotów, czających się podstępnie u otwartego okna, przez które widać było kilka klatek, zawieszonych na ścianie i zielonym papierem przykrytych. Odpędzano je miotłą do zamiatania; najczęściéj wszelako Bryluś, kudłaty adjutant

Majchra, który z nim razem pilnował bramy i utrzymywał podwórzową policyę w kamienicy, z własnego domysłu i własnéj gorliwości wypłaszał niebezpiecznych sąsiadów, intrygowanych zawsze świegotem szczygłów i kanarków; po każdym takim rycerskim ataku, pies poszczekując głośno z zadowolenia, wciskał z podwórza głowę przez okno do wnętrza izby, jakby się chciał przekonać, czy zauważono jego zasługę i prychając z dumą, kręcił swym puszystym ogonem póty, dopóki nie usłyszał z dołu głosu pochwały.

— Dobrze piesku, dobrze!... bij szelmę kota, niech tu nie włazi.

— Bij! bij! — zdawał się powtarzać potém sam do siebie w krótkich poszczekiwaniach *decrescendo* i kładł się pod otwartém oknem na straży; zabezpieczało to wprawdzie klatki od ewentualnéj napaści, ale i powstrzymywało dostęp świeższego nieco powietrza.

W suterynie mieszkał stróż. Nazywano go Majchrem, skutkiem dziwnego przekształcenia Melchiora. Córkę miał Jagę, a siostrę Franciszkę, która mieszkała przy nim od śmierci bratowéj i gospodarowała,

jak we własnym domu. Dobra była kobieta, tylko krzykliwa, gdy przebrała miarkę; wtedy i bratu, i kotom, i Brylusiowi, i synowicy dostawała się bura za co bądź, a i studentowi z drugiego piętra nie brakło przymówek i wymyślań.

Kończyło się zwykle tak:

– Już ja tego galanta kiedy przetrącę; on przyjdzie jeszcze na moje ręce, jak mi Boga trzeba przy skonaniu! Dam ja mu dziewuchę bałamucić!... Patrzcie go!... nie dla psa kiełbasa. Ty myślisz, że ciotka ślepa?... ciotka dobrze widzi, jak tam z sobą szwargotacie na schodach wieczorami. Wstyd ci odbierze i potém ludziom na oczy się nie będziesz mogła pokazać. Niedoczekanie jego!

Majcher w garść spluwał, włosy przygładzał, pochrząkiwał i z kąta w kąt chodził, pomrukując, albo brał harmonijkę ręczną, na kufrze zielonym po nieboszczce, siadał z nogą na nogę założoną i wygrywał krakowiaka, przytupując, podczas gdy siostra terkotała; myślał, że ją zagłuszy.

Kanarki się darły, Bryluś szczekał, harmonijka grała, sapiąc chrypliwie, w kącie popłakiwała Jagusia, ocierając nos i oczy

fartuszkiem perkalowym, na blasze skwierczała topiona słonina w rondelku, a ponad wszystkiem górował piskliwy głos gadatliwéj ciotki.

Ale tak bywało tylko w niedzielę. W powszednie dnie cicho było w izbie i głucho. Franciszka wychodziła do magla, Majcher do roboty po domu, kanarki przeskakiwały ze szczebla na szczebel, i trzepotały skrzydełkami w milczeniu, a Jagusia siadywała pod oknem i szyła. Ze ścian patrzały na nią tylko przekrzywione głowy świętych, popstrzonych przez muchy, i rozwieszonych nad dwoma łóżkami, wysłanemi wysoko pościelą.

Dziewczyna siadywała zamyślona i szyła po całych dniach, dopóki bożego światła starczyło i dopóki naprzeciw w oknie drugiego piętra nie stanął młody student, w niebieskim mundurku, z kędzierzawą głową czarną, jak u kruka, z wąsikami, jak u św. Michała na obrazku, z papierosem w ustach, jak kalina czerwonych.

Wtedy igła dziewczynie z palców się wymykała, ściegi się wykrzywiały, robota spadała na kolana, a oczy raz po raz biegły w górę, jak jaskółki pod okno panicza

z przeciwka... Całe szczęście, że ciotki nie było przy tém. Coś te oczy ciągnęło mimowoli do chłopca, jak malowanie...

A zaczęło się tak...

W jakiś dzień letni, dziewczyna usiadła pod murem z drugiéj strony na staréj pace od fortepianu: szyła swoim zwyczajem, aż tu bęc!... coś jéj na podołek spadło; patrzy — wiśnia. Spojrzała w górę, ponad głową... nie było nikogo... Zjadła wiśnię i szyła daléj.

Po chwili znowu: bęc!... Znowu wiśnia i znowu nikogo. Cud czy co?... z nieba wiśnie spadają i to wprost na kolana, po jednéj, jakby wybierane.

Wstała i poszła na środek podwórza; w oknie otwartém drugiego piętra stał pan student z torebką papierową w ręku, pełną owoców i zajadał smacznie, a gdy zoczył dziewczynę, chciał się najpierw cofnąć, ale potém się rozmyślił, głową jéj skinął z uśmiechem i znowu wisienkę przez okno wyrzucił.

Dziewczyna się zawstydziła, pokraśniała jak jagoda i uciekła po schodach do suteryny.

Tak się zaczęła znajomość od figlów z wiśniami.

Potém się przypadkiem spotkali w bramie, potém gdzieś na ulicy, raz gdzieś na schodach, no i znali się od téj pory. Pan student był grzeczny, uprzejmy, wesoły, nie minął nigdy bez dobrego słowa, czasem zażartował i tyle; a ciotce zaraz się zdawało, że czycha na dziewczynę, jak te koty z podwórza na kanarka. Zkądby mu tam łakomić się na stróżównę!

Raz go poprosiła o książkę jaką na niedzielę.

— Książkę?... do czytania?...

Bardzo się zdziwił tą prośbą; nie przypuszczał, że taka stróżówna czytać umie, ale gdy mu powiedziała, że chodziła nawet do szkoły i że pisze wcale szykownie, że nawet na »Halce« była raz w teatrze, zaczął się patrzeć na nią inaczéj i mówić do niéj: »panno Jagusiu«, zamiast »ty«, jak wprzódy.

Bardzo jéj to pochlebiło.

Majcher, choć prosty człowiek, chciał mieć córkę edukowaną. Alboż go nie było stać na to?... Zbierał przecież dla swojéj jedynaczki posag i miał już dwie książeczki do

kasy, schowane w zielonym kufrze po nieboszczce. Dyska do dyski zbierana po nocach nieprzespanych, zasługi kwartalne, dochody z przeprowadzki, to, owo... coś się tam uciułało wkońcu dla jedynego dziecka.

Przyszedł czas na zięcia.

Do ładnéj dziewczyny, świeżéj, młodéj, czystéj, chociaż hardéj, nęciło się nie mało konkurentów; nie chciała żadnego, Bóg wie czemu.

— Albo mi to śpieszno? — mówiła — mam czas!

Ojciec widać był innego zdania, a ciotka też...

Pewnego razu przyszedł do niéj i chrząkać zaczął.

— Jaguś.

— Co?

— Był tu Walenty.

— No?

Stary Majcher nie był wymowny; jakoś mu z językiem nie szło należycie.

— Ano był o... o ciebie... wiesz?

— Niech sobie wyperswaduje.

— Głupiaś; stolarz, jak się patrzy, porządny człowiek...

— To i cóż z tego?

— Ano, sprzyja ci.

— Ja tam o to nie prosiłam.

— Zawsze-bo warto... te... stolarz, wyzwoli się na św. Jan...

Wzruszyła ramionami, usta wydęła i zachmurzona poszła w kąt bez odpowiedzi; ojcu się to niepodobało.

— Ja ci tu księcia szukał nie będę, — rzekł ze złością, splunął, miotłę chwycił w grube dłonie i wyszedł.

Na drugi tydzień powtórzyła się znów ta sama scena.

— Jaguś.

— No?

— Był tu znowu Walenty.

— Był, to i poszedł.

— Nie bądź głupia, dziewczyno, szczęście ci samo w ręce lezie.

Dziewczyna wzdrygnęła się, spojrzała przez szyby zapylone w okno drugiego piętra i rumieńcem oblała się po same uszy.

— Żebyście mnie za włosy ciągnęli z nim do ołtarza — tak nie pójdę.

— Nie pójdziesz?... Obaczymy. Już ja

ci te humory z głowy wypędzę, poczekaj!...

Tym razem skończyło się na płaczu, a że była niedziela, więc ojcu w pomoc przyszła ciotka z podwójnym rezonem.

Pan student z przeciwka, wyglądając oknem, słyszał w suterynie mięszane głosy, płacze, krzyki, lecz ani się domyślał, że to w ten sposób namawiano Jagusię do małżeństwa.

Na drugi dzień rano wyjeżdżał na wieś, Majcher znosił mu walizkę do dorożki i wyprawiał na kolej, a potém poszedł do cyrkułu z książką wymeldować młodego lokatora. Pochmurny był i milczący; Brylusia kopnął w drodze z powrotem za to, że się łasił do niego. Miał ochotę się upić razem z siostrą, gdyby nie był właśnie na nowy rok »przysięgał od wódki«.

W suterynie Jagusia płakała przez cały dzień, tak, że omal jéj oczy ze łzami nie wypłynęły.

— Czego ty beczysz i beczysz, jak na utrapienie? — pytała ciotka.

— Dajcie mi pokój, ja wiem czego.

I płakała daléj.

Minęło kilka miesięcy... Walenty musiał

być wytrwałym człowiekiem, bo jak się uparł, że na swojém postawi, tak i postawił. Jak zaczął chodzić, prosić, pytać, ojca namawiać, dziewczynie pochlebiać, ciotkę poić, tak i sprawę wygrał.

— Panna Jagnieszka będzie moją, choćbym miał zdechnąć tu pod progiem — powiedział jéj pewnego razu — albo ja, albo nikt!

Kiedy na udry, to na udry.

No i doszło do tego, że dał na zapowiedzi, choć mu dziewczyna słowa nie przyrzekła.

Majcher się zaklął, że zabije dziewkę, jeżeli nie ustąpi, tak mu ten zięć przypadł do smaku i do serca, zwłaszcza po wyzwolinach.

— Tatusiu, kiedy ja go nie kocham, nie kocham! — zawodziła dziewczyna.

— Albo tam do małżeństwa kochania potrzeba! — odpowiadał ojciec.

— A przecież przy ołtarzu miłość mu muszę przysięgać; bójcie się Boga!... ja go nie chcę.

— Nie wydziwiaj głupia, nie gębuj, jak jaka marmuzela, bo popamiętasz. A czwarte

przykazanie?... A będziesz czcił ojca twego i matkę?... to nic?... hę?...

Im więcéj córka się upierała, tem bardziéj stary nastawał. Pieniądze z kufra wyjął, wyprawę siostrze kupować kazał, weselisko chciał mieć huczne, dla Jagusi białą suknię z welonem obstalował, zięciowi pożyczył na czarny surdut, tylko sobie na nową czapkę pożałował. Więc kiedy przyszła ta niedziela. na ślub wyznaczona, ubrał się w paradne zimowe palto syberynowe, które raz do roku wkładał, chociaż na świecie upał doskwierał, wdział białą kamizelkę pikową w kwiaty, zawiązał włóczkowy szalik na szyję, szerokie, czarne spodnie kupione na tandecie wciągnął na nogi i z czapką w ręce poszedł pierwszy do kościoła, nie nakrywając głowy, wysmarowanéj pomadą pierwszy raz po dziesięciu latach.

Jagusię ubierano jeszcze w białą suknię przed lusterkiem; zeszły się służące z całéj kamienicy, wszystkie kucharki z sąsiedztwa w ogromnych czepcach z kolorowemi wstążkami, w fałdzistych spódnicach wykrochmalonych, jak blacha, w chustkach zimowych na ramionach.

Pan młody z drużbami czekał w sieni, przy schodach, z flaszką wódki chodził od jednego, do drugiego i dla kurażu traktował.

Dzieci z podwórza zaglądały przez okna do suteryny i dziwiły się niezwykłemu widowisku; w całym domu, na całéj ulicy podawano sobie z ust do ust ważną wiadomość:

— Majcher córkę wydaje zamąż...

Dwoma dorożkami wybrano się do kościoła. Jagusia w ślubnéj sukni wyglądała blada i zmizerowana, jak do trumny nie do ołtarza; po twarzy jéj łzy płynęły, zacięła usta i słowa nie przemówiła do nikogo. Wieźli ją, jak na stracenie... Drużbowie już dobrze podchmieleni trącali się łokciami i odwracali od siebie głowę, z głupkowatym uśmiechem spoglądając na przechodniów, którzy przystawali po drodze i patrzyli na orszak ślubny i na szlochającą pannę młodą.

— To ci głupia ta Jaga, — mówiły do siebie służące w bramie — będzie miała męża, jak się patrzy, a ona mu komedye takie wyprawia; stary się z ostatniego

ściąga, weselisko wyprawia, jak jakiéj szlachciance.

— Będzie muzyka?

— A jakże, jest kataryniarz i skrzypce.

— Ho, ho!... to ci będzie frajda!...

— Żeby to mnie taki los!...

Całą noc rzępoliły skrzypki i dudliła katarynka w suterynach. Wódka i piwo lały się strugami, w ciasnéj izbie tłok był, zaduch, gwar, wyziewy kapusty i sosów, przyswędzonego schabu i dymu tytuniowego. Ochrypłe głosy drużbów, śpiewki kobiet i harmonijka Majchra, płacz dzieci i szczekanie drażnionego Brylusia, zlewały się w weselny chaos na cześć pani Walentowéj do rana.

Świt zastał wszystkich gości pijanych. Pan młody rozochocił się tak, że chciał obu drużbom zęby powybijać za to, iż sobie z niego podrwiwali. Ledwie się na nogach trzymał.

— Gdzie jest moja żona? — wołał — gdzie jest pani Walentowa? Jaga, słyszysz?... Zaraz mnie chodź pocałuj, bo ci żebra połamię!

Ale Jaga nie słyszała tych pierwszych objawów czułości swego małżonka... Jagi

nie było... Nikt nie uważał, że panna młoda zniknęła nagle bez śladu z towarzystwa, korzystając z ogólnego zamieszania.

O świcie wymknęła się z izby, przebiegła schody i tak jak stała w białej sukni w czepeczku, który jéj starościny o północy na głowę włożyły, z bukietem zwiędłym na piersiach, wypadła na ulicę i uciekać zaczęła. Więzień, wyłamawszy kraty, nie czułby się swobodniejszym od niéj w téj chwili. Uniosła swą ślubną suknię z przodu i biegła, ile jéj sił starczyło.

Kiedy nareszcie spostrzeżono jéj nieobecność w domu, dzień był jasny na niebie...

Dwa dni szukano jéj po całém mieście; trzeciego Majcher z zięciem wynalazł ją za rogatkami u matki chrzestnéj.

— Walek, bierz ją, jak swoją! — komenderował stary — a przylep jéj na pamiątkę, co się wlezie, niech nie ucieka od męża.

— Jezus, Marya!... ratujcie! kto w Boga wierzy! — rozległ się w téj saméj chwili rozpaczliwy głos kobiecy.

Zięć ze swoich praw korzystał w bru-

talny, zwierzęcy sposób; zdawało mu się, że się mści swojego »hunoru«.

I Jagusia wróciła do domu, aby się zadość stało uświęconemu prawu: »żona idzie za mężem swoim...«

VIII.

PANI HRABINA.

Płynęliśmy statkiem na Lido.

Na pokładzie parowca znajdowało się wesołe towarzystwo, mieszane, różnobarwne, począwszy od zasmolonych majtków i bersaglierów, a skończywszy na Anglikach w ryżowych hełmach z zielonemi woalami, z Baedeckerem w ręku, pledem na ramieniu i ogromnéj lornecie na pasku.

Po większéj części znajdowały się tu młode robotnice z gołą głową lub w chusteczkach zarzuconych na krucze kędzierzawe włosy i nasuniętych na czoło, nakształt kapuzy, któréj oba końce przytrzymywały białemi zębami; po wyjściu z fabryk i po całodziennem zajęciu jechały odetchnąć świeżém powietrzem i użyć chłodnego wieczoru w towarzystwie czarnookich, wesołych chłopców, z których

każdy o ile nie był bratem, zakrawał na kochanka.

Śpiewy przy gitarze, śmiechy, gwarna rozmowa, głos ręcznéj harmoniki, wygrywającéj marsza Garibaldiego z mandolinatą na przemiany, mieszały się chaotycznie w powietrzu cichém i spokojném.

W dali widać było wspaniałą panoramę Wenecyi, pałace przy *canale grande*, plac św. Marka z obeliskami swemi, połyskujące złotą poświatą kopuły katedry, czerwony w słońcu pałac Dożów i rojącą się ludzkiém mrowiem *rivę Schiavoni* z całą flotą statków, łodzi żaglowych i czarnych gondoli przy przystani.

Niebo przeglądało się w wspaniałém źwierciedle morza i wlewało w nie olbrzymie strugi roztopionych zachodzącém słońcem topazów, szafirów, rubinów i złota, rozpryskującego się w miliardy płatków po falach, zdobionych świetlikami, niby na obrazach Bassana.

Wśród gwaru włoskiéj rozmowy usłyszałem nagle poza sobą na ławce, zajmującéj środek pokładu, kilka słów po polsku powiedzianych...

Miękki, melodyjny głos kobiety pytał:

— Podoba ci się to Luciu?..

Odwróciłem się szybko; za mną siedziały dwie damy o powierzchowności bardzo dystyngowanéj, a między niemi chłopaczek w stroju marynarza, z twarzyczką delikatną, bladą, jak opłatek i zmęczoną widocznie. Długie, złotawe włoski spadały mu na ramiona i nad alabastrowém czołem, niebieskiemi żyłkami znaczoném na skroniach, układały się w bujną grzywkę, widoczną z pod granatowéj czapki majtka, na tył nasuniętéj. Na szyi miał czerwony fular zawiązany, z którego odblask barwił mu pozornym rumieńcem zaklęsłe policzki. Szlachetnością rysów przypominał jakiegoś infanta z portretów Van Dycka, które widziałem gdzieś kiedyś w galeryi Louvru... Jedną rączką opierał się na kuli, drugą podparł główkę z wyrazem smutku i znużenia, i patrzał przed siebie obojętnym zamglonym wzrokiem. Kaleką był; skurczona w kolanie nóżka wisiała mu z ławki z tą bezwładnością, jaką poznać łatwo w sparaliżowanych członkach.

Młodsza kobieta musiała być matką

dziecka; starsza jéj towarzyszką z wybitnym typem angielskiéj miss.

Chłopak na powtórzone pytanie, wzruszył ramionami i uśmiechnął się melancholijnie.

— Codziennie widzę przecież to samo, — odrzekł i zamknął oczy duże, smutne, wypatrzone na Boży świat, jakby za pokutę.

Trąciłem mego towarzysza łokciem i szepnąłem:

— Polacy.

— Gdzie?

— Za nami, obok.

Spojrzał i z wyrazem pewnego zdziwienia zdawał się rozpoznawać znajome rysy w twarzy młodszéj kobiety; potém nachylił się do mnie i przyciszonym głosem rzekł mi do ucha:

— Przypatrz się jéj dobrze, powiem ci coś potém, gdy wysiądziemy.

Nie mogłem się przypatrzéć wszelako dobrze mojéj sąsiadce, bo jakby ze spojrzeń naszych i cichych szeptów domyśliła się czegoś, odwróciła twarz i zapuściła woalkę, chłopca przytuliła do siebie i przez resztę drogi słowem się więcéj nie odezwała do nikogo.

Wylądowaliśmy. Pasażerowie statku rozsypali się pojedynczo i w gromadkach po wysepce, część wsiadła do tramwaju, reszta została na przystani. Kulawy chłopczyk i obie damy szli pieszo wolnym krokiem długą piaszczystą aleją wysadzoną rzadkiemi drzewami, ku drugiéj stronie Lida, gdzie kąpiele morskie.

— Pójdź, podążymy za nimi, — rzekł mój towarzysz — przez drogę opowiem ci historyę tej kobiety.

— Któż to taki? — spytałem zaciekawiony.

— To jeden z najbłękitniejszych kwiatków naszéj arystokracyi; musiałeś przynajmniéj słyszéć o niéj, hrabina Stefania Klicka. Ojciec mój był długie lata adwokatem całéj ich rodziny i dotąd prowadzi jeszcze interesa majątkowe jéj ojca hr. Seweryna Zdobińskiego. Pozwólmy tym paniom wyprzedzić nas trochę; będziemy mieli bohaterkę na oczach, jako żywą ilustracyę do powieści.

Zapaliliśmy cygara, aby się przyjemniej gawędziło i odpędzając dymem roje komarów i much natrętnie latających nad

naszemi głowami, puściliśmy się śladami naszych poprzedniczek. . .

. . . . . .

— Musiałeś zauważyć, iż hr. Stefania nie jest ładną, w twarzy ma coś surowego, — zaczął mój przyjaciel — przy swoich trzydziestu latach ma już szpakowate włosy.

Lat dziesięć temu wyszła zamąż, szósty rok mija, jak męża porzuciła i żyje w osamotnieniu, ze swoim jedynakiem i angielką, która była jéj guwernantką za czasów panieńskich.

Nikt nigdy dobrze nie wie, gdzie hrabina przebywa, nawet najbliższa rodzina nie jest o tém dokładnie powiadomioną; widują ją najczęściéj zimą we Włoszech latem w Szwajcaryi lub w Tyrolu. Z nikim nie żyje, znajomości unika, przy spotkaniu udaje cudzoziemkę, zachowując zawsze najchętniéj swoje *incognito*. Przed dwoma laty rozeszła się nawet pogłoska o jéj śmierci; zmartwychwstała potém niespodzianie. Pokazało się, że była na Archipelagu greckim przez pół roku.

Swojego czasu należała wszelako do najświetniejszych dam *high-life'u;* w Pa-

ryżu wyrywano ją sobie po wszystkich salonach, nazywano ją *the star*, bo jak gwiazda zaćmiewała wszystkie inne, nie tyle wdziękami, ile umysłem, dystynkcyą, wychowaniem i dowcipem.

Jako panna, kochała się szalenie w jakimś księciu, który walczył w szeregach podczas ostatniéj wojny francusko-pruskiéj i padł śmiertelnie ranny na pobojowisku; od dzieciństwa wszelako zaręczoną była z woli rodziców ze swoim kuzynem hr. Klickim, który jéj pierwszy przywiózł wiadomość o śmierci swego rywala. Pod naciskiem rodziny zgodziła się, opłakawszy stratę swego ideału, wyjść zamąż za kuzyna. Wyobraź sobie, iż w kilka lat po ślubie, spotkała księcia żywego; nie zginął wcale, wyleczył się z ran i jako inwalid przebywał dla nabrania sił utraconych i zdrowia w Kairze... Mąż wiedział o tém, ale ją okłamał umyślnie, aby się pozbyć przeszkody, jaka mu zagradzała drogę do ręki i posagu kuzynki. Zakrawa to trochę na intrygę z melodramatu, ale w życiu dzieją się rzeczy, którym na scenie nikt nie dałby wiary, posądzając autora o jaskrawą przesadę.

— Bo sztuka — przerwałem — ma swoje *maximum* i *minimum*, poza którém życie snuje jeszcze swe niewyczerpane kombinacye; ale cóż dalej?

— Powiadano, że po wykryciu téj tajemnicy, hrabina chciała się zabić; przez pewien czas obawiano się o jéj zmysły. Mąż wyznał przed nią całą prawdę, usiłując ją przekonać, że tylko przez szaloną miłość do niéj, użył tak nikczemnego podstępu. I podobno uwierzyła mu... Ot, kobieta!.. ale stosunek między nimi oziębił się od téj pory znacznie, zachowywali przed światem jeszcze pozory, bywali razem w towarzystwach, choć coraz rzadziéj, czasem przyjmowali u siebie; dwa, trzy razy do roku otwierały się wspaniałe salony hrabstwa, całą śmietankę arystokracyi widziano wtedy na owych rautach, *the star* stała się wszelako przelotnym tylko meteorem... Nareszcie sześć lat temu, hrabia powrócił nagle sam z zagranicy z ręką na temblaku. Powiadano z początku, że miał wypadek w podróży... tym wypadkiem był pojedynek. Żona z dzieckiem pozostała we Francyi i od tego czasu nie

widziano jéj więcéj u nas... Wiesz o kogo się bił pan hrabia?

— O żonę.

— Tak, o żonę, ale nie swoją. Bił się o kobietę, któréj mąż był jego najlepszym przyjacielem, a z którą romansował niegdyś za czasów kawalerskich. Byłby ten stosunek trwał w ukryciu dotychczas, gdyby nie przypadek, który go zdradził.

— Z czyjéj winy?..

— Z winy nowego lokaja, który pana hrabiego schwycił pewnéj nocy za kołnierz na ciemnych schodach, gdy się skradał do buduaru pięknéj pani, i biorąc go za złodzieja, narobił krzyku i hałasu tak piekielnego, że cały dom obudził... Widzisz, wszystko jak w romansie Montepin'a lub Boisgobey'a. Wypadek stał się głośnym w Paryżu; jedna tylko hrabina dowiedziała się o wszystkiém na ostatku — i to od samego męża. Kiedy go rannego przywieziono do domu, kazał ją poprosić do swego gabinetu i rzekł do niéj z otwartością, graniczącą z cynizmem: »Biłem się dzisiaj o kobietę, która poświęciła mi swój honor; nie chcę, aby obcy ludzie przynieśli ci usłużnie tę wiadomość z przesadnemi

komentarzami, wolę uprzedzić ich sam wyznaniem smutnéj prawdy. Od dwóch lat żyliśmy z sobą jak rodzeństwo, nie jak mąż z żoną. Znalazłem miłość, która mi wynagrodziła wszystko to, co utraciłem we własnym domu, przez twoję dziwaczną drażliwość. Nie wchodźmy w szczegóły przykre dla nas obojga... Jestem ranny; skoro będę mógł powstać z łóżka, zastosuję się do wszelkich twoich rozporządzeń co do dalszych naszych losów wspólnych. Ze względu jednak na dziecko, proszę panią, abyś się namyśliła dobrze, nim cokolwiek postanowisz«.

Ten sam człowiek, który ją podstępnie rozłączył z ukochanym nad życie, który lat tyle okłamywał ją haniebnie i zdradzał, miał tę czelność zedrzeć z siebie maskę obłudy po raz drugi i przyznać się otwarcie do popełnionej nikczemności, pozując na rycerza honoru; zdawało mu się, że spełnia jakiś czyn bohaterski wobec kobiety, pokrzywdzanéj przez niego, a spełniał tylko obowiązek winowajcy przed sędzią, przyznającego się do swoich zbrodni.

— Cóż zrobiła hrabina?

— Tego samego dnia zabrała dziecko

i wyjechała z Paryża. Odtąd, jak ci mówiłem, podróżuje bezustannie, przenosi się z miejsca na miejce i jedyną jéj pociechą jest to kulawe biedactwo, któremu się poświęca z największą troskliwością. Powiadają, że fanatycznie kocha swego syna, chociaż dla ojca jego nawet szacunku żywić nie może...

. . . . . .

Stanęliśmy nad brzegiem morza; z jedwabnym szelestem podpływały fale spienione na piasek, a toń szafirowo-zielona szumiała jakimś złowrogim odgłosem, jak głodny, olbrzymi potwór, domagający się żeru nad wieczorem.

Zamiast na morze, spoglądałem przez cały czas na smukłą postać kobiety, któréj smutnych dziejów wysłuchałem przed chwilą. Wydawała mi się spokojną, zimną, zamkniętą w sobie siłą woli, czy jakiémś znieczuleniem przebolałéj duszy. Obudziło się we mnie dla nieznajomej to współczucie, jakie każda ofiara nieszczęścia, znoszonego z cichą rezygnacyą obudza.

Stała nad morzem. Kulawe chłopię oparło się o nią i rzucało szczupłą, delikatną rączką liście z zielonéj gałązki na wiatr,

który je niósł na fale, a fale wypluwały je z pianą znowu na piasek. Nie mówili nic do siebie; o kilka kroków stała angielka, z rękoma opartemi na lasce błękitnéj parasolki i myślała zapewne o wybrzeżach swego ojczystego Albionu.

Słońce rzucało długie cienie tych trzech milczących postaci na wodę.

Miałem sposobność przypatrzéć się do woli matce i dziecku, ale szanując chwilę melancholijnéj ich zadumy, cofnąłem się z moim towarzyszem poza drewniane kabiny i wracałem do przystani, odwracając się po drodze ku wybrzeżu, na którém jeszcze nieporuszone rysowały się sylwetki hrabiny, jéj synka i angielskiéj miss.

Na drugi dzień w *Café quadri* spotkaliśmy się przy śniadaniu... Potém znów w bocznéj nawie katedry, potém przez dni kilka w gondolach. Zawsze ten sam spokojny, zimny, surowy wyraz twarzy widziałem na jéj licach, to samo znudzenie i zmęczenie na twarzy wątłego dziecka, nawet wtedy, gdy pełną garścią z granatowéj czapki sypał groch znęconym gołębiom na placu św. Marka.

Nazywaliśmy ją odtąd »naszą hrabiną« i szukali potém téj trójcy codziennie, jakby dla przekonania się, czy żywszy rumieniec zdrowia nie okrasi zlekka mizernych policzków chłopca, a uśmiech, choć przelotny, zaciśniętych ust jego matki..,

Daremnie. Wyjechałem z Wenecyi i nie doczekałem się tego. Przyjaciel mój pozostał na lagunach.

Na odjezdném prosiłem go:

— A pamiętaj napisać mi cokolwiek o naszéj hrabinie.

Nie zapomniał... W kilka tygodni potém otrzymałem list z Wenecyi, w liście znajdował się wycinek miejscowéj gazety, donoszący o smutnym wypadku, jaki się wydarzył na Lido. Dwie damy, przez nieostrożność, utonęły, kąpiąc się w morzu, nad wieczorem; obie były cudzoziemkami. Ofiarą nieszczęścia omal nie padł dziewięcioletni chłopczyk, pozostawiony bez dozoru na brzegu, który, na widok tonącéj matki, chciał się rzucić nieopatrznie w morze... Dzieckiem osieroconém zajęło się grono litościwych osób i władze miejscowe...

List obszerniejsze przynosił szczegóły... domysły moje nie zawiodły mnie.

»Wyobraź sobie, — pisał mój przyjaciel — co za nieszczęście!

»Wczoraj, nad wieczorem, całą Wenecyę zaalarmował wypadek okropny, choć tutaj dosyć częsty.

»Nasza hrabina z angielką utonęły o godzinie 6-tej na Lido.

»Nie chciałem temu dać wiary. Popłynąłem tym samym statkiem, na którym po raz pierwszy spotkaliśmy je — pamiętasz?.. Niestety, widziałem obie wydobyte z wody, jeszcze w kostjumach kąpielowych. Wytłumaczyć tu sobie nie umieją tego wypadku, bo hrabina pływała bardzo dobrze i wytrwale; prawdopodobnie kurcz ją złapał w wodzie, gdyż niedaleko od wybrzeża utonęła, pociągając za sobą przerażoną angielkę, która jéj pospieszyła na ratunek. Co najokropniejsze, to, że całe nieszczęście odbyło się w oczach biednego Lucia, patrzącego z wybrzeża na śmiertelne zapasy matki... Biedne chłopię, o kuli biegało po piasku wilgotnym i domyślając się raczéj katastrofy, która go miała osierocić, niż pojmując jéj prawdziwe niebez-

pieczeństwo, krzyczało rozpaczliwie, zalane łzami i wołało na pomoc.

»Nieprzyzwyczajone do ludzi i nieśmiałe dziecko, do Boga próbowało apelować o ratunek. Przyszła mu na myśl jedyna modlitwa, jaką umiał na pamięć, pacierz, więc podobno na cały głos modlił się: »Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Ojcze nasz, któryś jest w niebie ... ratuj mamusię, ratuj mamusię«!..

»Opowiadał mi to, łkając stary ich lokaj; był on także świadkiem téj sceny, ale pływać nie umiejąc, nie śmiał się rzucić w wodę, a nim przypłynęły łodzie ratunkowe, obie kobiéty zanurzyły się w toń i nie wypłynęły więcéj.

»Lucio z rozpaczy tarzał się po piasku i bez przytomności wydawać miał w płaczu jakieś nieludzkie głosy. Biédny sierotka leży w malignie teraz i powtarza tylko: »Ojcze nasz, Ojcze nasz!.. ratuj mamusię«.

»Telegrafowano zaraz na wszystkie strony; hrabiego nie można odszukać, podróżuje podobno gdzieś po Anglii ze swoją przyjaciółką, która się z mężem rozwiodła zaraz po pojedynku.

»Ten epilog tragedyi wstrząsnął mną do głębi, miejsca sobie od wczoraj znaleźć nie mogę, tak mi żal naszéj biednéj hrabiny«!..

IX.

BZICZEK.

Bój się Boga kobieto, — mówił mężczyzna w średnim wieku, z lampą w jednéj, a alabastrową figurką Wenery Milońskiéj w drugiéj ręce, stojąc na środku obszernego salonu, do kobiety, grającéj zapamiętale walca na fortepianie, który stanowił dotąd jedyne umeblowanie pustego apartamentu — ty sobie grasz najspokojniéj, a tam po schodach meble rozbijają!... mogłabyś przynajmniej poczekać, aż wszystkie rzeczy na górę pownoszą... co ci tak pilnego z tą muzyką?... to właśnie pora na granie podczas saméj przeprowadzki!...

Kobieta odjęła szybko rączki z klawiatury, pobiegła drobnemi krokami w sam kąt salonu i wcisnąwszy się za wspaniały piec kaflowy z udaną miną przestraszonego dziecka, nakryła twarz szerokiém rondem

pasterki, którą miała na głowie i przykucnęła na posadzce.

— Ojoj! znowu bura, znowu bura, znowu bura!... — szeptała szybko, spoglądając zpod oka na mężczyznę w środku salonu.

— Proszę cię, nie udawaj większego dziecka, niż jesteś, moja Feluniu, — mówił daléj — wyléź z tego kąta i nie wycieraj sobą kurzu po dawnych lokatorach.

— To czego na mnie krzyczysz?!

— Bo któż widział siadać do fortepianu, kiedy tragarze meble przenoszą?

— To z radości.

— Z jakiéj radości?

— Z radości, że będziemy mieli takie ładne mieszkanie, taki duży salon, takie dwa balkoniki z kwiatami... nie wolno mi się cieszyć?...

— Ależ będzie na to jeszcze dość czasu.

— Ja nie lubię czekać, ty wiesz o tém; ja tu już skakałam po wszystkich pokojach, zanim ty przyszedłeś.

Mężczyzna wzruszył ramionami, westchnął z politowaniem i lampę z figurką stawiając na oknie, rzekł:

— Bziczek z ciebie zawsze i wszędzie!...

— Coś powiedział?!..

Porwała się ku niemu, rączki zarzuciła mu na szyję i tupiąc nóżkami, niby w najwyższej pasyi, wołała:

— Zaraz mi powtórz, zaraz powtórz raz jeszcze, a uduszę cię szkaradniku!

— Ależ moja Feluniu, miejże rozum! — perswadował mężczyzna.

— Nie mam rozumu, nie chcę mieć rozumu, nie będę miała rozumu, kiedy mnie bzikiem nazywasz. Pożałujesz tego... Czekaj!...

Wspinała się na paluszkach, chcąc mu drobnemi ząbkami uchwycić wąs z lewéj strony; bronił się, głowę wyginał, próbował się wyzwolić z jéj objęcia.

— Feluniu!...

Nic nie pomogło, odgryzła mu kawałek wąsa i śmiała się, jak małe dziecko ze swoich figlów.

We drzwiach stanęła dziewczynka sześcioletnia z rumianą buzią, z oczkami, jak duży haber, z płowemi włoskami w puklach, które jéj spadały na dekoltowaną szyjkę zpod ryżowego kapelusika z dużą różową kokardą; dźwigała z trudem podnóżek atłasowy. Pończoszki jéj opadły i odsłoniły

pulchną, okrągłą łydeczkę. Na łokciach utoczonych, na buzi, na bródce widać było rozkoszne dołeczki, jak u aniołków Murilla.

Za nią toczył się drugi tłuścioszek, o rok od niéj młodszy zaledwie. Na główce miał założony abażur z lampy z czerwonym motylem na froncie, w jednéj rączce trzymał parasolkę, która była wyższą od niego, w drugiéj lalkę siostrzyczki, pod pachą konika. Tak obładowany, wyglądał jak Herkules Liliputów.

— Mamo, mamo, co Tutka widziała! — wołała już od progu dziewczynka, biegnąc z wielkiém rozradowaniem ku matce.

— I Loluś, i Loluś! — uzupełniał chłopak, by się przed matką pochwalić z ważnéj nowiny.

Widziały dużego psa, który ciągnął wózek przez ulicę; musi im tata kupić takiego psa i taki wózek, bo panna Florentyna im przyrzekła, że skoro będą grzecznie siedziały w dorożce i nie wychylały się, to dostaną zaraz jutro takiego Filusia.

Każdy pies, duży czy mały, nazywał się u nich Filusiem, jak każda bona panną Florentyną.

Po chwili, na balkonie od ulicy zanosiły się od śmiechu; mama siedząc na podnóżku, opowiadała im, że tatusiowi wąs odgryzła, a tatuś się szczurzył i gniewał, i wyrywał, ot tak, o!... a mamusia hap! i wąsa niéma.

Tymczasem w pokojach słychać było przesuwanie mebli, łoskot stawianych kufrów, szuranie butami o posadzkę, głosy tragarzy, służących i sopran panny Florentyny, dyrygującéj z energią amazonki całą tą wyprawą świętojańską.

W ten sposób państwo Józefowie przeprowadzali się z jednego mieszkania na drugie.

Nieznośna rzecz, ta rumacya; ale i całe gospodarstwo domowe nieznośne nad wyraz.

Pani Józefowa, pani Felunia, krócéj przez męża Bziczkiem nazywana, mamusia ślicznéj Toty i Lolusia, nie cierpi gospodarstwa. Od siedmiu lat, jak jest za mężem, była w kuchni może dziesięć razy, może dwanaście; nigdy nie wie dobrze, co będzie na obiad. Tę niespodziankę robi jéj codzień panna Florentyna, która właśnie jest panią domu, gospodynią, ochmistrzy-

nią, duchem opiekuńczym całego gospodarstwa.

Pani Józefowa, leżąc na atłasowym szeslongu, w prześlicznym szlafroczku koronkowym, w pantofelkach złotem haftowanych, z najnowszą powieścią Daudet'a lub Gyp'a w ręku, powtarza prawie codziennie:

— Ja nie wiem, co jabym zrobiła bez téj panny Florentyny!...

To prawda; ktoby o wszystkich dbał, o wszystkich pamiętał, nawet o saméj pani Józefowéj?...

Począwszy od guziczków przy trzewikach Lolusia i Toty, aż do sukni balowéj ich mamusi, wszystko na głowie panny Florentyny. Ba, gdyby jéj nie było!... nie byłoby komu dopilnować obiadu, a cóż dopiero przeprowadzki. Na szczęście, pan Józef dostał z żoną, posagiem i wyprawą, pannę Florentynę w dodatku, która zastąpiła wszystkie gospodarskie cnoty i przymioty, jakich zabrakło pani Józefowéj, najweselszéj i najfiglarniejszéj blondynce, wydanéj zamąż w siedmnastu latach, prosto z pensyi, za człowieka nie starego, ale i nie młodzika, w Chrystusowych latach, sen-

sata z natury, a trochę pedanta z powołania.

Pan Józef jest technikiem, podobno bardzo uczonym i bardzo wziętym w swoim zawodzie. Pani Józefowa nie zna się nic a nic na technice; cyrkle, trójkąty, formułki matematyczne, nudzą ją; kocha męża, ale nie lubi jego zawodu. Zarzuca swemu Józiowi, że się za rzadko śmieje, a za często zamyśla, nie chce z nią nigdy figlować i gniewa się okropnie, kiedy mu grozi, że go łaskotać zacznie, jeśli jéj nie pozwoli zbałamucić (na żarty) pana Włodzimierza, który do niéj słodkie oczy robi w salonie.

— Mój Józiu, nie bądź taki poważny, — mówi mu, składając przed nim ręce i klęcząc u jego kolan, z włosami rozpuszczonémi aż do ziemi — proszę cię, zrób dla mnie jakie głupstwo kiedy, jak mnie kochasz!... bo mnie się zdaje, że mnie z jednéj pensyi dali na drugą, pod opiekę księdza katechety, który się patrzy na mnie surowo i groźnie powtarza ciągle: »Panno Felicyo, cicho siedzieć, ręce na ławkę!... prosto się trzymać, uwaga!...« A ja chciałabym skakać, śmiać się, bawić...

— Koziołki przewracać?

— A choćby?... cóżby w tém złego było? Myślisz, żem ja się gimnastyki nie uczyła? Przy tobie nic mi nie wolno. Nawet mi chłopców kokietować nie pozwalasz. Inne się wybawiły za panieńskich czasów, nażywały świata, nabałamuciły mnóstwo mężczyzn, a ja co?... ciebie pierwszego i ostatniego! To nudne. Przecież ja cię nie chcę zdradzić, ty wiesz o tém... Mama i papa wyparliby się mnie potém... nie, nie, o tém niéma mowy, ale tak od czasu do czasu mógłbyś mi pozwolić pobaraszkować trochę, mój drogi. Wiész co, ja ci każdą moję rozmowę z młodymi ludźmi powtórzę co do słowa, jak cię kocham, a jeśli kiedy dostanę bilecik w bukiecie, to ci daję słowo, że go razem przeczytamy; no cóż?... mój drogi, pozwólże, bo się obejdę bez pozwolenia, a potém będziesz się gniewał.

Pani Józefowa ma w tém upodobanie, by takiemi żartami drażnić męża; odchodzi zwykle po każdéj podobnéj rozmowie zadąsana, z głową spuszczoną i mówi:

— Nie, nie kochasz mnie, kiedy mi takiéj bagatelki nie chcesz pozwolić.

To te francuskie romanse przewracają

jéj tak często w główce; za dużo ich czyta, ale cóż ma robić, kiedy nie wié, co z czasem począć... Sypia już przecież do południa, ubiera się dopiero przed obiadem, potém z dziećmi się bawi, przebiera się dla nich za rozmaite cudaki, kładzie się z niemi na dywanie i przewraca, jak ośmioletnia dziewczynka. Pozwala Tutce włazić na siebie, jak na konia i zanosi się od śmiechu, kiedy Loluś siostrę za nóżki ściąga na ziemię.

Wieczorem w salonie, w teatrze, na koncercie niktby jéj nie poznał. Ruchliwa, jak żywe srebro, szczebiotliwa, jak dziecko, wesoła, jak wiewiórka. Zdaje jéj się, że zawsze jeszcze jest panną na wydaniu. Gdyby jéj się jednak kto oświadczył, w roztargnieniu odpowiedziałaby:

— Pomów pan z Józiem.

Serce ma bardzo dobre, tylko główkę trochę przewróconą. Znają ją z tego. Lubi sobie z mężczyzn żartować i marzy o tém, żeby którego w pole wyprowadzić. Przed mężem nie ma żadnych tajemnic. Ona, i tajemnice!... niczego nie potrafiłaby zataić, za bardzo roztrzepana i za czysta jeszcze natura. Co na sercu, to na języku; na ję-

zyku nawet dwa razy tyle, niżby się w sercu zmieściło.

Okrutnie boi się postarzéć przed czasem, stracić figurę i posiwiéć.

Znalazła raz siwy włos na skroni po chorobie Lolusia; przestraszyła się tak, że pod nią nogi zdrętwiały, nie mogła wstać od toalety, podparła główkę na ręce i płakała, patrząc w lustro, jak jéj łzy po twarzy spływały.

— Jak ja płaczę, jak ja płaczę! — mówiła sobie z politowaniem nad sobą samą — albo nie mam czego?... za pół roku gotowam osiwiéć zupełnie.

Potém przyszła jéj myśl, aby ten pierwszy srebrny włosek ofiarować Panu Bogu; obwinęła nim wiązankę lilij białych i zatknęła za obraz, przed którym dzień i noc płonie srebrna lampka w jéj sypialni. Od tego czasu jest spokojniejszą. Opisała to wszystko bardzo szczegółowo w liście do swojéj matki, z którą prowadzi regularnie obszerną korespondencyę; przyzwyczaiła się zwierzać jéj wszystko pod warunkiem, aby »nikomu, a zwłaszcza papie« słówka jednego nie zdradziła nigdy.

Ojca się bowiem boi zawsze, jak gdyby była jeszcze tą samą małą Felunią, która brała klapsy za swoje psoty i krzyki. Przy ojcu też pokornieje jak trusia, sznuruje usteczka i ma minę mniszki, wracającéj z rekolekcyi.

Niekiedy przychodzą na nią chwile powagi, zamyśla się, wzdycha, głowę podpiera na ręce i siedzi zadumana godzinę całą w swoim buduarze; najczęściéj jéj się potém oczki skleją w téj zadumie, zdrzemnie się i wtedy śnią się jéj dzieci, Loluś i Tota.

Tota idzie na pensyą, Loluś do szkoły, Tota dźwiga w rączkach ogromną tekę z napisem *Music*, Loluś ugina się pod tornistrem, pełnym książek, palce ma powalane atramentem i spodenki podarte na ślizgawce.

— Co ja z tym chłopcem mam kłopotu! — mówi sobie we śnie i odgraża się, że go wybije, a ręką macha przy tém bezwiednie w powietrzu — i ma na śpiącéj twarzyczce wyraz wielkiéj surowości, ustami rusza, marszczy się, nóżką tupie, zupełnie jak na jawie.

— Poczekaj Loluś!... dam ja tobie chodzić na ślizgawkę.

Budzi ją zwykle pocałunek męża; otwiera oczy i widzi nad sobą jego poważnie uśmiechniętą twarz z wyrazem dziwnéj czułości w spojrzeniu, obejmuje go za szyję, przeciąga się, ziewając z całą swobodą i mówi:

— Dobrześ zrobił, żeś mnie obudził; miałam właśnie wybić Lola.

— A to za co?

— Wyobraź sobie, trzeci raz rozlał atrament i rozdarł spodenki na ślizgawce.

— Gdzie, kiedy?

— A we śnie; co to będzie kiedyś na jawie!... wolałabym mieć dwie Toty.

— To jeszcze rzecz nie stracona, — powiada poważnie pan Józef, a spoglądając z jakimś wyrazem lubości i pobłażania zarazem na żonę, kończy w myślach uwagę:

— Miałbym wtedy wraz z tobą — czworo dzieci...

To szczęście, że pani Józefowa nie słyszy jego myśli, bardzoby ją to rozgniewało, gotowa mu drugi wąs odgryźć, ale już nie z figlów, lecz z irytacyi; można ją bowiem

do pasyi doprowadzić, nazywając ją — dzieckiem.

Ona dzieckiem!... także!... skończyła przecież w same Trzy króle lat dwadzieścia i cztery!...

X.

TAMTA.

W gabinecie pana Edwarda panował zmrok zupełny; nawet bardzo bystre oko nie byłoby dojrzało w cieniu, zalegającym cały gabinet, nieruchomej postaci mężczyzny, siedzącego w dużym, wygodnym fotelu przy biurku, w bliskości okna, przez które przebijał się słaby odblask światła od ulicy i dochodził zgłuszony turkot przejeżdżających dorożek i powozów.

Przez zamknięte drzwi za szeroką portyerą przedzierał się zmieszany odgłos fortepianu, śmiechów kobiecych i ożywionéj rozmowy, dochodzący tu z dalszych apartamentów, stanowiąc dziwny kontrast z głuchą ciszą i ciemnością, wśród któréj siedział pogrążony w zadumie samotnik.

Na dworze była zima, śnieg zalegał dachy, mroźny wiatr dął od północy i zda-

wał się dzwonić o szyby, jak gdyby jęcząc, prosił o gościnę.

Pan Edward, z zamkniętemi oczyma, wyciągnięty w fotelu, od godziny prawie nie poruszył się z miejsca; głowę miał zwieszoną, ręce skrzyżowane na piersiach, nie widział, nie słyszał, nie czuł nic, oprócz własnych myśli, wirujących mu po głowie.

Była to jedna z bardzo częstych jego kontemplacyj, podczas których unikał ludzi, stronił od świata, zamykał się i pozostawał niedostępnym dla wszystkich, nawet dla pani Emilii, wzruszającéj niechętnie swemi ślicznie toczonemi ramionami nad dziwactwem męża, chorującego na mizantropię.

Nie przeszkodziło to jéj wcale bawić się w swoim salonie głośno, wesoło, w małém, ale dobranem kółku, urządzać rautów i wieczorków bez udziału »zdziczałego« małżonka.

— Jeżeli nie chcesz, to nie wychodź ze swego pokoju, — mówiła mu zazwyczaj z najzimniejszą krwią, przed nadejściem zaproszonych gości — obejdziemy się bez ciebie.

I obchodziła się bez niego zupełnie, nietylko w domu, ale i poza domem.

Przyzwyczajono się do nieobecności gospodarza na tych zebraniach, którym przewodniczyła z niezrównanym wdziękiem i humorem sama gospodyni w towarzystwie swéj owdowiałéj siostry.

Pani Emilia nie lubiła licznego towarzystwa, ale zato często mniejsze gromadziła obok siebie; do drugiéj, trzeciéj po północy rozbrzmiewał jeszcze jéj salon i budoar rozmową swobodną, śmiechem, muzyką, zmieszanemi głosami gości, którzy byli uprzedzeni, że krępować się nie mają żadnéj potrzeby.

— Edward śpi już oddawna, — mówiło się bliższym znajomym. — Mąż mój cierpi na migrenę, więc wcześnie udaje się na spoczynek, — powtarzano stereotypowo nowym przybyszom, nieobeznanym ze zwyczajami domu państwa Edwardów.

Ta migrena w istocie była tylko pozorem; trudno było objaśniać wszystkich, że mąż pani Emilii w ostatnich kilku latach dziwaczał coraz bardziéj, stawał się nieznośnym w stosunkach małżeńskich, te-

tryczał, starzał się widocznie, pomimo swoich lat czterdziestu dopiero.

— Było też poco za mąż wychodzić! — mówiła na poufnych konferencyach siostra Terenia do pani Emilii, — a zdawało się z początku, że będziesz miała z niego pociechę. Bóg wie, czego mu brak, wiecznie niezadowolony, wiecznie skwaszony. Wolał był zostać przy swojéj pierwszéj magnifice i ją na śmierć zamęczać, aniżeli się z nią rozwodzić, niby to z wielkiéj miłości dla ciebie. Już to w małżeństwie nigdy mężczyźnie dowierzać nie można.

Pani Emilia wzruszała ramionami swoim zwyczajem i śmiejąc się, odpowiadała:

— Niech sobie robi, co mu się podoba, mnie to nic a nic nie przeszkadza. Próbowałam żyć z nim wspólnie, nie udało się, — żyjemy każde na własną rękę i... mnie z tém dobrze. Jeśli teraz niezadowolony, *à qui la faute?*

Mało ją to obchodziło, nie kochała go, choć zgodziła się pójść za niego po rozwodzie z pierwszą żoną.

— Zachciało mu się koniecznie zostać moim mężem, — powiadała z obojętnością kobiety, która się do żadnych zobowiązań

nie poczuwa za poniesioną dla niéj ofiarę — ma, czego chciał. Jestem jego żoną... Czegóż chce więcéj?..

Nie rozumiała tego, czy nie chciała rozumieć, że była wszystkiém inném, tylko nie żoną w tém właściwém znaczeniu dla człowieka, który w rozszalałéj namiętności posunął się niemal do brutalstwa, zerwał dla niéj pierwsze związki i odtrącił od siebie kobietę młodą, szlachetną, uczciwą, kochającą go i powolną prawie do zupełnéj abnegacyi swojego »ja«.

Zdawało mu się, że nie potrafi być szczęśliwym w tém cichém, spokojném małżeństwie z istotą anielskiéj dobroci, która miała jednę dla niego wadę, iż była poświęconą swym obowiązkom żoną, nie kochanką, wyszukującą głębokie sensacye dla jego wrażliwéj natury i wyobraźni.

Pragnął czegoś nadzwyczajnego, niepospolitego, fantastycznego, coby mu słodycze małżeństwa zaprawiało ostrzejszym przysmakiem miłosnéj awanturki.

I spotkał na swojéj drodze istotę, w któréj nerwy zastępowały temperament, kaprys fantazyę, spryt inteligencyę; zimny

egoizm przenikał nawskroś naturę pani Emilii, mającéj dewizę: »Nic w zamian«.

Fatalnie pomylił się pan Edward w tym poprawionym rachunku życia; rozczarowanie ostudziło go bardzo rychło z pierwszych gorączkowych zachwytów, zaślepione oczy przejrzały wtedy, kiedy było zapóźno.

Szczególniejsza reakcya powstała w jego duszy; zobojętniał, ostygł, zmartwiał niemal dla drugiéj żony, odsunął się od niéj z tajoną goryczą, odgraniczył nietylko przestrzenią całego apartamentu, na którego dwóch przeciwległych krańcach znajdowały się gabinety małżonków, ale raz na zawsze przedzieliła go z nią przepaść zawodu doznanego pod każdym względem.

Wówczas bez ustanku przychodzić mu zaczęła na myśl — tamta, którą mimowoli przypominało mu samo zestawienie dwóch tak odmiennych typów i charakterów kobiecych, z jakiemi go los połączył. I powoli jakaś Nemezys małżeńska przygotowywała zemstę na lekkomyślnym mężu; odtrącona brutalnie, pokrzywdzona najboleśniéj, poświęcona dla dwóch egoizmów

ludzkich ofiara, odnosiła niespodziewany tryumf w sercu i sumieniu Edwarda. Im bardziéj bronił się opętanéj myśli, podsuwającéj mu widmo pierwszéj żony, tém bardziéj ulegał jéj i tém więcéj powracał do wspomnień téj cichéj, słodkiéj, pokornéj Anielci, która swojemi smutnemi, głębokiemi oczyma wpatrywała się w niego łagodnie, z żalem lecz bez wyrzutu podczas tych widzeń przeszłości, gdy tak, jak dziś siedział samotny, ze zwieszoną głową w ciemnym, zamkniętym gabinecie, który stał się dla niego celą więzienną i pokutniczą.

Przywykł teraz wszystko odnosić w myślach do — tamtéj, i pani Emilia ani przypuszczała, że największą i najniebezpieczniejszą jéj przeciwniczką, która do reszty psuła rozluźniony stosunek z mężem, była właśnie ta cicha, niewidzialna, bezustanna myśl, która szeptała w duszy i sercu pana Edwarda.

— Patrz, to nie tamta; tamta cię kochała, tamta ci ulegała, tamta poświęciła ci wszystko, nawet swoje szczęście i życie, i dumę kobiecą, wyrzekła się pokornie wszystkiego i odsunęła cicho, w milczeniu,

bez skargi i wyrzutu, aby ci nie zawadzać tylko w drodze do nowego szczęścia, gdy się przekonała, że nie jest więcéj kochaną przez ciebie.

I jak jakiś zaklęty dźwięk powtarzał się nieustannie w całéj istocie pana Edwarda, na każdém miejscu, w każdéj chwili ten jeden jedyny wyraz: tamta, tamta, tamta...

Stała się rzecz dziwna na pozór, lecz naturalna zupełnie; pan Edward poznawszy swój błąd i pomyłkę, któréj naprawić już nie mógł, jeszcze bardziéj wyidealizował sobie pierwszą żonę i poczuł się względem niéj winowajcą, karanym teraz srogo przez życie i przez własne sumienie.

Tęsknił do niéj, jak do straconego szczęścia, a to uczucie upokarzało go jeszcze więcéj i dokuczało mu jeszcze boleśniéj w obecności téj, któréj poraz drugi miłość i wiarę małżeńską ślubował; w ciągu lat kilku zupełny przewrót stał się w jego naturze.

Tak, jak dziś, spędzał prawie wszystkie wieczory w swym obcym dla niego domu. Nie troszczono się o niego, nie pamiętano o nim, nie poczuwano się względem niego

do żadnych obowiązków. Wiedział, że jest obojętnym dla żony, która używała życia i swobody, niekrępowana niczém; wiedział nawet, że ma rywali, o których nie umiał być już zazdrosnym.

— Ta nie pokocha nic i nikogo, — mówił sobie z gorzkim uśmiechem — a zresztą...

Lekceważący gest dopełniał myśli apatycznego małżonka; wszystko mu jedno było teraz, odkąd to mniemane złoto okazało się tylko mosiądzem.

Z zadumy wyrwał go nagle głośniejszy wybuch śmiechu za ścianą; widocznie bawiono się tam wesoło, fortepian dźwięczał, a jakiś głos tenorowy śpiewał wyjątki z »Fausta«, sparadyowane po francusku.

Pan Edward wstał, zapalił woskową świecę na biurku, przegarnął włosy i porzucone na dużéj otomance, zasłanéj skórą niedźwiedzią futro wdział na siebie, kapelusz włożył na głowę i wyszedł bocznemi drzwiami.

Mroźny wiatr na ulicy dał mu w samą twarz; szedł otulony, z podniesionym kołnierzem bobrowym i wymijając przecho-

dniów, zdążał ku jednéj z dalszych ulic przedmieścia.

Przed dwupiętrową kamienicą narożną zatrzymał się, spojrzał w górę ku oknom pierwszego piętra i wpatrywał się pochmurnie w łagodne światło przebijające z wnętrza. Ulica była pustą o téj porze; podszedł do bramy, z widocznym zamiarem wejścia na górę, ale zawahał się i cofnął.

Nie pierwszy raz można go było spotkać w téj stronie wieczorem, krążącego około domu i spoglądającego ukradkiem w górę ku oknom, rzadko oświeconym zupełnie; w dwóch tylko na samym końcu błyszczało zawsze, późno w noc jeszcze, światło wiszącéj lampy pod zielonym kloszem.

Przy lampie téj ktoś czuwał, może marzył, może pracował, bo na firankach czasami znać było cień pochylonéj głowy kobiecéj.

W ten cień pan Edward wpatrywał się zwykle z bijącém sercem i stał, jak przykuty do bruku...

Niekiedy obok większego cienia zjawiał się mniejszy, ruchliwszy cień główki dziecięcéj. Zbliżał się i oddalał, mieszał z nim

i znikał zupełnie. Nieraz znać było wyraźnie profil kobiecy, zwrócony ku profilowi dziecka z rozpuszczonemi włosami, kręcącego główką, jak ptaszek; zdawało się nawet, że na cieniu znać usteczka rozchylone uśmiechem, poruszane szczebiotem, lub podawane do pocałunku.

Dziwne wrażenie robiły te dwa cienie obserwowane z dołu, na które nikt zapewne z przechodniów uwagi nie zwracał, oprócz jednego pana Edwarda; mógł był wpatrywać się w nie całemi godzinami, jak w nadziemskie zjawisko, bo to były przecież dwa cienie jego odtrąconego szczęścia...

Przychodził tu, wdzięczny przypadkowi, podkradać chwile rozkoszy, do której stracił wszelkie prawa, której się wyrzekł samowolnie, nie przeczuwając, iż kiedyś zatęskni do nich i powróci w taki sposób.

Na górze mieszkała... tamta, niegdyś jego żona, dziś tylko matka jego dziecka, które mu wolno było, według umowy, raz do roku widywać, w dniu — podpisania rozwodu.

Z początku zdawało mu się, że to wystarczy... Wówczas zajęty był jedynie

kobietą, w której świat cały, świat rzeczywisty i świat marzeń swoich widział. A teraz, przez tę pustkę, patrzał na ruinę zmarnowanego szczęścia i życia.

Po raz dziesiąty podchodził do bramy i zatrzymywał się, walcząc ze sobą i z odwagą, która go opuszczała, ilekroć stawał u progu odtrąconéj żony; dziś wszelako jakiś instynkt popchnął go silniéj, jakaś większa tęsknota pociągnęła: chyłkiem, nieśmiało, jak skradający się złodziéj, wbiegł na schody, do drzwi pierwszego piętra i poruszył klamkę, z sercem bijącém gwałtownie, z twarzą śmiertelnie bladą, z oddechem zapartym w piersiach, drżący, jak zbrodzień, który wraca do wrót swojego więzienia po ucieczce.

Za drzwiami odezwał się głos dobrze mu tak znany:

— Józiu, otwórz, to pewnie doktor.

Spodziewano się lekarza, zatém ktoś w domu był chorym; nogi zachwiały się pod nim, złowrogie przeczucie ścisnęło mu serce.

Służąca drzwi otworzyła do przedpokoju... wszedł, futro zrzucił: po chwili oko w oko w małym, skromnym, ubogim

nawet saloniku, znalazł się z kobietą młodą jeszcze, ale wycieńczoną, zwiędłą, starganą, jak kwiat, przez który przeszła burza gwałtowna.

Poznała go odrazu po tylu latach niewidzenia. Stanął przed nią, jak duch z poza grobu. Pogrzebała go przecież tak dawno, umarł dla niéj, przestał istnieć wobec Boga i ludzi, ale niestety — nie wobec serca...

Serce ma pamięć dłuższą od miłości.

Stali naprzeciw siebie, jak skamienieli, z oczyma spuszczonemi, bez słowa na ustach, bez głosu w piersiach; cała przeszłość w téj jednéj krótkiéj, a okrutnéj dla pamięci chwili, przemknęła pomiędzy nimi i jak gorący wiatr pustyni owionęła ich dusze.

Mężczyzna słabszym się okazał od kobiety; zamiast wszelkich tłumaczeń, wybuchnął nagle gwałtownem łkaniem, w którém było wszystko, czegoby usta nigdy wyrazić nie zdołały i skrucha winowajcy i skarga nieszczęścia, i wstyd upokorzenia...

Zakrył twarz, oparł się o ścianę i płakał głośno, długo, pierwszy raz w życiu zapewne, jak dziecko, nie jak mężczyzna

Ona stała przed nim, nieruchoma, blada, jak trup, z oczyma bez łez, ręką oparła się o stół, na którym drżała febrycznie lampa pod tém oparciem, zacięła zęby, by nie dzwoniły w dreszczach, wstrząsających całém jéj ciałem, i patrzała na męża spojrzeniem pełném bólu, zdziwienia, bezdennego smutku, ale i litości zarazem.

— Kto panu powiedział, że Munia chora? — spytała wreszcie po długiéj, jak wieczność chwili, opanowawszy pierwsza zmysły i uczucia.

Spojrzał na nią zaczerwienionemi od płaczu oczyma i drgnął pod wrażeniem tych słów.

— Munia chora?.. — powtórzył zdławionym głosem — nie wiedziałem nic o tém.

— Myślałam...

— Cóż się jéj stało?

— Gorączkuje od kilku dni... majaczy... od wczoraj poprawiło jéj się...

Dopiero teraz zadławiły ją łzy, których nie chciała przed nim ukazać; siły ją opuściły, zachwiała się, ale widząc, że chce ją powstrzymać, odzyskała resztę energii i powstrzymała go ruchem ręki:

— To nic...

Zrozumiał jéj gest i pozostał na miejscu.

— Czy mogę zobaczyć Munię? — spytał nieśmiało, pokornie, błagająco niemal.

Namyślała się chwilę, wreszcie wskazując mu ręką drzwi do drugiego pokoju, szepnęła krótko:

— Proszę.

Rzucił jéj spojrzenie pełne wdzięczności i dziękczynienia: wszedł sam...

Na łóżeczku pod ścianą leżała dziewczynka dziesięcioletnia, z wypiekami ceglastemi na twarzy, z oczyma napół otwartemi, z rączkami na piersiach, podnoszonych szybkim, gorączkowym oddechem.

Pochylił się nad nią, wziął za rękę i wpatrywał przez łzy, przemawiając cichym, pełnym rzewności głosem:

— Muniu, dziecko moje, co tobie?.. Patrz, tatuś przyszedł cię odwiedzić... Nie poznajesz tatusia?

Dziewczynka podniosła z trudnością powieki i spoglądała wzrokiem bezprzytomnym, obojętnym, siląc się zrozumieć, co do niéj mówią. Nie odpowiadała nic... Nie poznawała ojca.

Z drugiego pokoju przeze drzwi patrzała

matka, zasłaniając sobie chustką usta, przez które cisnął się gwałtowny wybuch płaczu. Oczy jéj przebiegały z twarzy dziecka na twarz mężczyzny i podwójny ból łamał jéj serce... Wiedziała, że i on nie był szczęśliwym, że cierpiał i pokutował, że go los pokarał za nią surowo, ale nie wiedziała, że winę swą uznał.

Jego łzy powiedziały jéj i to przed chwilą; była pomszczoną, więcéj nawet, niż pragnąć mogła...

XI.

INSEPARABLES.

Pamiętam ich, jak gdybym wczoraj jeszcze widział oboje przy stoliczku mahoniowym na balkonie, pomiędzy kwitnącemi oleandrami, które były »dumą i pasyą« pana kapitana; pamiętam doskonale jego czerstwą. rumianą twarz, od której odbijały siwe wąsy, jak z waty i takaż sama czuprynka nad szerokiém, otwartém czołem.

Nosił długi, stary, oliwkowéj barwy surdut z aksamitnym kołnierzem, atłasową kamizelkę i pantalony ze strzemiączkami, na szyi jedwabną chustkę z brylantową spinką, a na palcu złoty sygnet z herbem rzniętym w krwawniku.

Zupełnie tak, jakby zstąpił z jakiego starego portretu z przed lat pięćdziesięciu...

Pani kapitanowa zimą i latem chodziła w szlafroczku, na który w ważniejszych chwilach narzucała albo szal turecki, albo pelerynkę jedwabną z koronkami; przy rękawach miała zawsze żaboty, z których jéj biała, szczupła, drżąca już trochę ręka, wyglądała o połowę młodziéj od twarzy, pokrytéj siatką zmarszczek, ale okraszonéj spojrzeniem jeszcze tak żywém ciemnych, wyrazistych oczu i uśmiechem tak pogodnym, wesołym, ujmującym, że się zapominało o jéj sześćdziesięciu dwóch latach, z których czterdzieści cztery spędziła w małżeństwie z »duszyczką« Kubusiem...

Trzeba ich było widzieć razem obok siebie, kiedy szli do kościoła, trzymając się pod ramię, albo gdy wychodzili na przechadzkę przed obiadem; pan kapitan w słomkowym kapeluszu, trochę na tył głowy nasuniętym, w popielatych rękawiczkach, nigdy prawie nie zapiętych, z grubą hiszpańską trzciną o dużéj gałce ze słoniowéj kości, na któréj misternie rznięte były ogary ścigające odyńca, drobnym krokiem dreptał zawsze naprzód, jakby szedł nie na spacer ale z rozkazem pułkownika śpieszył do głównéj kwatery.

A za nim jego Franusia z torebką w jednéj, z parasolką w drugiéj ręce, siliła się zdążyć, udając, że jéj nie męczy ten forsowny marsz za panem kapitanem.

Od czasu do czasu jednak przystawała pod rozmaitemi pozorami, niby to chustkę wyjmując z torebki, to okruszyny sypiąc wróbelkom, to z wielkiém zajęciem przyglądając się kamykom na drodze.

Mąż wówczas odwracał się do niéj i wołał na cały głos:

— Ho, ho, dobrodziéjce coś dziś nogi nie służą!.. stare latka, stare latka.

— No, no, jaki mi młodzieniaszek!.. myślałby kto, że przez rów przeskoczy — odcinała się kapitanowa.

— A przeskoczę; zaraz ci pokażę, że przeskoczę... Poczekajno, niech tylko rów się znajdzie. O!.. patrzaj dobrodziéjka.

— Na rany boskie, Kubuś, nie... nie... Jeszcze sobie co złego zrobisz — wołała starowina, powstrzymując rozochoconego Kubusia za połę od tak ryzykownego szaleństwa.

— Myślisz, żebym nie przeskoczył?.. ho, ho! — odgrażał się staruszek — dobrodziéjka w strachu, bo musiałabyś za

mną na drugą stronę przełazić. Prawda?.. Cha, cha, cha!..

Wprowadzało go to w dobry humor; prostował się, po żołniersku pierś wypinał naprzód i miarowym krokiem ruszając z miejsca, naśladował z wielką energią bicie bębna.

— Tarram, tarram, tarram-tam-tam!.. tarram, tarram, tarram-tam-tam!..

Podróż do domu odbywała się już z mniejszą fantazyą; wojskowy animusz opuszczał pana kapitana. Staruszkowie szli pod ramię. Ona zazwyczaj niosła pęk polnych kwiatów, zerwanych na przechadzce, albo ziela dla kanarka, on opierał się o wiele cięższej na lasce i nieprzyznając do znużenia, wyrzekał czasem:

— A widzisz, zachciało ci się iść dłuższą drogą.

— Tyś pewnie zmęczony, duszyczko, przyznaj się...

— Dlaczego?

— Boś poczerwieniał cały.

— A to dobrze, muszę ładnie wyglądać z rumieńcami.

— Może siądziemy na ławeczce?..

— Siadaj dobrodziéjka, ja nie, bom głodny, a objadek czeka... Co tam dziś mamy?

— Potraweczka z kury...

— Ślicznie.

— Omlecik z malinami...

— Hm, hm, hm!..

— I ozór na szaro.

— Delicye!.. no, naprzód, marsz, bo nie wytrzymam.

Co najmniéj dwa razy w tygodniu powtarzała się ta potraweczka i ten ozór na szaro, ze względu na zęby pana kapitana, które tak samo, jak nogi pani kapitanowéj wypowiadały służbę.

Od niepamiętnych czasów widziano ich zawsze razem, jedno bez drugiego nie ruszało się z domu. Lekarze panu Jakubowi zalecali dużo komocyi, aby się skłonność do apopleksyi w nim bardziéj nie rozwijała.

Ta apopleksya była utrapieniem staruszki; bała się o męża na każdym kroku, pilnowała go i nieodstępowała na chwilę.

W nocy wstawała nieraz kilka razy z łóżka, aby zobaczyć, czy jéj Kubuś śpi dobrze i czy mu głowa za nisko nie spadła.

Pan kapitan miał zwyczaj chrapać niemiłosiernie, ale przyznawać się do tego nie lubił.

— Ja chrapałem dziś w nocy? — mówił, szeroko otwierając oczy zdziwione, — przesłyszało ci się, dobrodziéjko.

— No, no, duszyczko, nie zapieraj się, przecież ci nie wymawiam.

— Ale moja Franusiu, pozwólże, przecież ja znam swoję naturę; jak tylko chrapnę mocniéj, sam się budzę i przewracam na drugi bok. Już ja się pilnuję, nawet we śnie, żebyś miała spokój ze mną; ho, ho! czuj-duch ze mnie.

Dzień za dniem upływał im jednakowo i toczył się, jak paciorki różańca, równo, cicho, bez zmiany.

Mieszkanko zajmowali nie obszerne, ale wygodne. Starego fasonu meble stały w salonie, pokryte spłowiałym amarantem, na ścianach wisiały obrazy olejne, przedstawiające Napoleona, ks. Józefa i Kościuszkę, kilka angielskich sztychów z historyi biblijnéj, pod oknem palisandrowy fortepian z długim ogonem, w doniczkach mnóstwo kwiatów, jak w oranżeryi, na stołach, na fotelach, bez liku robótek ko-

biecych, wyszywań na kanwie, patarafek perełkowych, poduszek włóczkowych ze spłowiałemi kwiatami i napisem: »Dormez bien«, lub »Souvenir«.

Wszystko to było dziełem wprawnych i pracowitych rączek pani kapitanowéj z dawniejszych czasów, wszystko przypominało jakieś ważne, uroczyste chwile, z każdym drobiazgiem łączyło się wspomnienie, lada drobnostka miała swoję historyę, jak w muzeum pamiątek.

Pod lustrem w salonie wisiała miniatura na słoniowéj kości, wyobrażająca przystojną brunetkę w niebieskiéj sukni z falbanami, z puklami bujnych włosów na skroniach, trzymającą na kolanach dziecko o pyzatéj buzi i dużych, ciekawie wypatrzonych oczkach.

Kapitan każdemu pokazywał najcenniejszy ten zabytek przeszłości, pytając:

— Widziałeś Franusię?.. to było robione w dwa lata po naszym ślubie. Przypatrz się, śliczna robota... to sam Zamboni malował, sam Zamboni!..

Pysznił się tym jakimś Zambonim, o którym historya sztuki nic nie wiedziała, jakby

co najmniéj drugim Attavantem, lub Van Dyckiem.

Kiedy się staruszek wpatrywał w miniaturę żony, twarz mu się dziwną lubością rozpromieniała, oczy się uśmiechały, czerwieniał jeszcze bardziéj, niż zwykle, wąsa podkręcał, nogą zlekka przytupywał i przyciszając głos, aby go Franusia w drugim pokoju nie usłyszała, dodawał z zachwytem:

— Śliczna była kobieta!.. dziś jeszcze znać to po niéj, nieprawdaż?.. w rysach zostały ślady podobieństwa. A co za cera!.. Krew z mlekiem. Cóż ty powiesz, ona dotąd czyta bez okularów i ma wszystkie zęby własne!.. tak, tak...

A potém nachylając się do ucha, dodawał tajemniczo:

— Zamboni się w niéj kochał szalenie, kiedy to malował.

Wiedzieliśmy wszyscy, iż pani kapitanowa ongi należała do rzędu piękności, ale dzisiaj trzeba było wierzyć tylko miniaturze i podaniom ustnym.

Na odwrót ona przy sposobności rozwodziła się przed kobietami:

— Nie było piękniejszego mężczyzny

od Kubusia, kiedy wychodziłam za niego. A mazura tańczył!.. świat się kończy. Jedna francuska hrabina szalała za nim, ale spojrzéć na nią nie chciał nawet, tak był we mnie zakochany. Kiedyśmy byli w obozie...

I tu się zaczynały długie opowiadania o pierwszych latach ich małżeństwa, o wspólnych przygodach, o kampanii, którą młoda mężatka odbywała razem z mężem, nie chcąc się rozstać ze swym najukochańszym Kubusiem.

Jedyném bolesném wspomnieniem była dla staruszki śmierć pierwszego i ostatniego dziecka; kiedy mówiła o niém, zawsze łzy jéj stawały w oczach.

— Co to za anielski chłopak był ten nasz Lolo! — powtarzała z niewygasłym zachwytem matki — a jaki silny, zdrów, jaki tłuścioch, powiadam pani. Stawał już o własnych siłach. Żeby nie niańka, byłby nieboraczek chował się do dzisiejszego dnia. Pozwoliła mu niegodziwa dziewczyna rzucać się w kołysce i stawać na nóżki... kołyska była na biegunach, przechyliła się, stracił równowagę, upadł i uderzył o kant

w same skronie. Na miejscu się zabił moja droga, — na miejscu!.. biedny aniołek.

Mówiąc to, ocierała oczy i szeptała coś pocichutku, jak gdyby: »święć Panie nad jego duszyczką«.

W szafie, która stała przy jéj łóżku, miała w osobnéj szufladzie pochowane relikwie po swoim jedynaku... Pokazywała je czasem w dowód szczególniejszego zaufania... Była tam koszulka dziecka i kaftaniczek, i koraliki na jedwabnym sznureczku, i mały czepeczek pożółkły od starości; całe ubranie Lola, jakie miał na sobie tego fatalnego dnia, gdy się zabił.

Najwięcéj łez wszelako wydobywał z jéj oczu kolorowy pajac z dzwoneczkami, który pociągnięty za sznurek, wyprawiał pocieszne ruchy. Coś się tam w nim kiedyś zepsuło ku wielkiemu zmartwieniu kapitanowéj, bo od dłuższego czasu nie chciał dzwonić więcéj, a w tych dzwonkach, poruszanych drżącą ręką staruszki, odzywało się lube echo przeszłości macierzyńskiéj, stawała przed oczyma dawno, dawno zamglona rzeczywistość. Zapominała, że czterdzieści lat minęło od chwili, gdy tą zabawką uciszała małego Lola, widziała go

znowu na łonie piastunki, rumianego, jak jagódka, wyciągającego ku niéj pulchne, czerwone łapki, słyszała powtarzane z nim rozmowy:

— Czém ty będziesz Lolu?.. Kapucynem?.. nie?.. Lolo będzie oficerem, jak tatuś, prawda?.. Lolo będzie miał mundur, amarantowe wyłogi i epolety, i konika, i szabelkę, jak dorośnie. Tylko musi być grzecznym, caca, nie krzyczéć, nie hałasować, kaszkę jeść na mléczku...

W wspomnieniach staruszki chwile te błyszczały w słońcu młodości, jak krople rosy na powiędłych kwiatach.

— Wie pani, — mówiła — miał już dwa ząbki, kiedy się zabił.

I na dowód wyjmowała w płatek jedwabiu zawinięty korzeń fiołkowy w srebrnéj oprawie, poczerniały, zeschły zupełnie, na którym tylko jéj oczy odszukać mogły ślady drobnych ząbków Lola.

Stary kapitan pochmurniał zawsze, ilekroć się odbywały te oględziny familijnego skarbca.

— To ją zanadto rozrzewnia, — powtarzał — potém będzie cały dzień popłakiwała. Ot, biedaczka... Nie miała więcéj

dzieci, a byłyby się przydały na pociechę starości.

Co roku, w dzień zaduszny, jechali na cmentarz z wieńcem i lampkami na grób jedynaka, który otaczała żelazna krata, odnawiana już kilka razy; na mogiłce stał pomnik z urną i aniołkiem ze złożonemi do modlitwy rączkami.

— Coby to był za mężczyzna teraz!.. powiadali sobie z westchnieniem — byłby już dawno żonaty z jaką ładną, dobrą panienką... mieliby dorosłe dzieci...

Na myśl o wnukach, obojgu łzami zachodziły oczy.

Niekiedy tylko, w ważniejszych chwilach, gdy siedząc w swoich starych głębokich fotelach na balkonie, rozmawiali o ciężkich czasach, o zmianach, jakie zaszły w świecie, o coraz gorszych klęskach, jakiemi Bóg ludzi doświadcza, jedno lub drugie wyrywało się z westchnieniem:

— Dobrze, że tego Lolo nie doczekał.

Na tym balkonie od ogrodu staruszkowie odbywali najczęściéj *siestę* po obiedzie; kapitan zapalał fajeczkę węgierską z chwaścikami, kapitanowa brała do rąk

gazetę i czytała na głos mężowi wiadomości polityczne i nekrologię.

Te dwa temata najwięcéj dostarczały im materyału do pogawędki.

— No, patrzaj, patrzaj, — przerywał jéj nieraz małżonek, gdy się między nieboszczykami znalazło znajome jakie nazwisko — i temu poczciwemu Wierczyckiemu się zmarło!.. przecież nie był jeszcze tak stary, młodszy chyba odemnie o trzy lata. Ciekawym, co mu było?.. no, no, a to się pospieszył! Któż tam jeszcze?..

Czasami pan kapitan z fajeczką w zębach zasypiał, gdy Franusia przechodziła do felietonu; muchy siadały mu na wąsach, lub na czole, mrugał wtedy krzaczystemi brwiami i sapał, mrucząc pod nosem.

A Franusia zieloną gałązką zerwaną z oleandra, odpędzała lekko natrętne muszyska, które Kubusiowi spokojnie spać nie dawały, i wpatrywała się w jego twarz marsowo nachmurzoną, uśmiechnięta, pogodna, z przechyloną trochę na ramię głową w popielatym czepeczku z jedwabnemi wstążkami. Przypatrywała się swojemu Kubusiowi z tą miłosną troskliwością najwierniejszéj towarzyszki życia, która

od pół wieku, dolę i niedolę, każdy uśmiech i każdą łzę na téj twarzy dzieliła całém sercem... Stary kudłaty pudel, spasiony i ociężały, ślepy na jedno oko, wychodził również na balkon, siadał pomiędzy panią i panem i przyglądał się ciekawie to jéj, to jemu, jakby się dziwił, że siedzą tak blisko siebie i nie rozmawiają wcale.

Zdarzało się to tylko wtedy, gdy kapitan zasypiał, albo gdy kapitanowa na wieczór koronki odmawiała; o! wtedy robiło się cichutko, jak makiem zasiał, — Kubuś, choć mu to ciężko przychodziło, w swoich aksamitnych, wiśniowych pantoflach z wyszywanemi złotem bratkami, na palcach chodził po pokoju, aby nie przerywać modlitwy swéj żony.

On wiedział dobrze, że ona za niego tak szczerze się modli...

. . . . . .

Pamiętam dwa pogrzeby w dniu jednym o jednéj godzinie: śmierć rozłączyła ich tylko na kwadrans, kiedy kapitan zmarł na apopleksyę, a ona na anewryzm serca.

Pan Bóg wysłuchał codziennéj prośby

staruszki, aby jéj nie pozwolił przeżyć Kubusia, jeśli go kiedy do chwały swojéj powoła...

Dobry Pan Bóg!..

XII.

M U U. . .

Śmiało się majowe słońce do całego świata, uśmiechała się ziemia cała do nieba, śmiały się drzewa białemi kwiatami, chichotały gromady ptactwa wśród zielonych gałęzi, a ludzie mieli uśmiech na ustach, który mówił na rozmaite tony: wiosna!..

W zacisznym ogródku, przy jednéj z ulic przedmieścia, gdzie to już wielkie miasto nabiera cechy małego miasteczka, począwszy od bruków, a skończywszy na domkach niższych, gdzie zieleni więcéj, powietrza więcéj, błękitu więcéj, gdzie po ulicach dzieciaki bawią się swobodnie, kobiety z gołą głową nie wstydzą się stanąć na chodniku, a wieczorem wraz ze zmrokiem zapada cisza, wieś przypominająca, którą czasem przerwie turkot wozu, albo ujadanie psa na podwórku, w ogródku takim

wśród bzów rozkwitających, na ciepłém, złotém słońcu o południu, widać można było codziennie mężczyznę, w dużym, staroświeckiém fotelu, wytoczonym na gracowaną ścieżkę, wśród świeżych trawników i młodą, przystojną kobietę, towarzyszącą mu nieustannie i gotową na każde jego skinienie.

Z troskliwością siostry miłosierdzia krzątała się około niego, odbiegając tylko na chwilę do domku, by powrócić to z pledem, to z filiżanką gorącego bulionu na tacy, to z lekarstwem, które mu ostrożnie, delikatnie podawała do ust na łyżeczce.

A spieszyła się zawsze, aby każdą chwilę rozstania skrócić jak najbardziéj. Ciągle miała przy nim coś do roboty, do poprawienia, do zapytania. Od czasu do czasu przyklękała u jego kolan i patrząc mu w duże, ciemne, smutne oczy, głęboko osadzone pod szerokiém, pożółkłém czołem, pytała:

— Jakże ci teraz Jasiu, lepiéj?.. prawda, że lepiéj?.. może ci dać poduszkę pod plecy?.. możebyś zjadł co teraz?.. ciepło ci?..

Mężczyzna poruszał tylko ustami, ale

głosu nie wydawał żadnego, lekkiém skinieniem głowy odpowiadał na wszystko, mimo to, rozumiała go doskonale; była w niéj ta jakaś zdumiewająca intuicya kobiecéj natury, która pozwalała jéj odgadywać niemal każdą myśl, każde życzenie chorego.

Niekiedy swą śliczną, kształtną główkę kładła na jego kolanach i pełne karminowe usta przyciskała do jego białéj, wydelikaconéj ręki, jakby mu tą pieszczotą dziękowała za odpowiedź, że się czuje lepiéj, lub za to, że jéj pozwala tak troskliwie czuwać nad sobą.

Chory ożywiał wtedy swą spokojną, piękną twarz, próbował się uśmiechnąć i przegarniał palcami jéj krucze, cienkie włosy, krótko obcięte i w kędziorach naturalnych spadające na śniadą nieco, ale cudnie utoczoną szyjkę; głaskał ją z czułością po twarzy, rumieńcem zdrowia i świeżości okraszonéj, patrzał w jéj żywe, czarne, uśmiechnięte do niego oczy i tém spojrzeniem zdawał się z nią rozmawiać.

Ile razy przesunął ręką po jéj krótkich włosach, tylekroć coś jakby przypomnienie i jakby wyrzut, spotykała w jego wzroku;

rozumiała go... Przypominał sobie jéj długie, bujne włosy, a wyrzucał, że je obcięła... Było to podczas najcięższych chwil jego choroby; za dużo czasu zabierało jéj czesanie i splatanie długich warkoczy, — więc się ich pozbyła bez namysłu, aby zbyt długo nie zajmować się niemi.

Chciała każdą chwilę dnia i nocy, poświęcać dla niego.

Gdyby nie to poświęcenie, Bóg wié, czy byłby jeszcze przy życiu... mogła powiedzieć, że to ona go cudem uratowała.

Dwa lata trwała ta niemoc i choroba, dwa lata długie, ciężkie, liczone na minuty niemal, nie na dnie i miesiące.

Lekarze w pierwszéj chwili nie widzieli ratunku.

Najstarszy z nich, przyjaciel domu, po konsylium odbytém przy łożu pacyenta, wziął ją za obie ręce i nie mogąc ukryć wzruszenia, drżącym głosem rzekł tylko:

— Trzeba mieć w Bogu nadzieję; wypadek bardzo ciężki, ale organizm młody... natura czasem cuda czyni.

To było zbyt wyraźne. W tém pocieszeniu odczuła groźną prawdę, pod któréj wrażeniem zdrętwiała, twarz jéj powlokła

się jakąś siną, gliniastą barwą. Nie przemówiła ani słowa, nie zachwiała się, ani jedna łza z oczu jéj nie spadła, stała w miejscu, jak skamieniała, aż gdy została samą, podeszła sztywna, wyprężona z gwałtownym wysiłkiem woli do łóżka chorego, utkwiła w jego bladych, martwych rysach swe oczy i patrzała w nie z surową jakąś powagą, a potém wzrok przeniosła na ścianę, gdzie wisiał Chrystus w cierniowéj koronie i strasznym jakimś, rozpaczliwym głosem wybuchła:

— Nie, ty mi go nie możesz zabrać, Boże!...

Chrystus miał głowę zwieszoną smutnie, boleśnie; w niebieskiém świetle migotliwéj ampułki, która się przed nim paliła, powieki jego zdawały się podnosić i spuszczać, a usta poruszać, jakby miłosierną modlitwą »za tych, którzy cierpią«.

— Ty nie możesz umrzéć! — powtarzała suchym, bezdźwięcznym głosem, pochylona nad bezwładném ciałem mężczyzny — ty nie możesz umrzéć, nie!...

Straszną noc przeżyła wówczas, ale... natura czasem cuda czyni, jak dobrze powiedział stary lekarz, który następnego

dnia raniutko już pukał do drzwi ich mieszkania i służącą obrzuciwszy badawczym wzrokiem, przed wejściem do przedpokoju jeszcze, pytał nieśmiałym szeptem:

— Cóż?... pan żyje?

— Żyje... zaczyna panią poznawać.

Lekarz odetchnął głęboko.

Od téj chwili dwa lata minęły między życiem a śmiercią, dwa lata wegetacyi...

Chory wrócił do przytomności po paraliżu, odzyskał nawet władzę w lewéj ręce, ale stracił mowę; usta jego wydawały tylko jakieś dźwięki bez treści.

Jedynym wyraźniejszym okruchem głosu ludzkiego zostało coś, co podobném było do pierwszéj połowy imienia kobiety, którą zdrobniale dawniéj Munią nazywał.

— Muu... Muu! — powtarzał z jakimś dziwnym, przeciągłym akcentem paralityk i resztę dopowiadał oczyma, lub słabym gestem lewéj ręki.

Z początku to »Muu...« było tylko przyzywaniem jedynéj osoby, którą chory znosił obok siebie, późniéj zamknęło w sobie całą treść myśli, nie mogących posługiwać się bezwładnym językiem, zdolnym zaledwie do nieludzkiego bełkotu.

W sparaliżowanym ciele umysł nie przestawał pracować i ten właśnie kontrast fizycznéj niemocy z duchowemi jego siłami sprawiał jakiś tragiczny effekt.

Każde »Muu...« nabrało z czasem osobnego znaczenia, zrozumiałego jedynie dla ucha i serca domyślnéj dozorczyni chorego.

Tą jedną zgłoską rozmawiał z nią, przywoływał do siebie, odpowiadał na zapytania i wyrażał wszystkie uczucia; dla innych nie było w tym głuchym głosie żadnych odcieni, dla niéj zaś tkwiła cała wymowa, słuchana kochającém sercem, nie uchem.

Czasami jakaś dziwnie rzewna nuta brzmiała w tym jedynym wyrazie biednego paralityka.

Pewnego dnia, pod koniec maja, zobaczył na piersiach swoich bukiecik fijołków, przypięty drżącą ręką uśmiechniętéj opiekunki; zwrócił ku niéj oczy, jakby chciał spytać:

— Co to znaczy?...

Łzy miała na rzęsach, ale uśmiech na rozchylonych ustach.

— Zapomniałeś Jasieńku — odrzekła, na pozór wesoło i swobodnie, odgarniając mu włosy ze skroni — dziś przecie rocznica

naszego ślubu... siedm lat, jakeśmy się pobrali.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale jéj głosu zabrakło; bała się zdradzić przed nim ze swém wzruszeniem, ten dzień tyle kontrastu mieścił w sobie w porównaniu z ową chwilą, gdy przed siedmiu laty stawali u ołtarza.

Chory, oczy przymknął i bolesny, pełen cierpienia wyraz przybrała blada twarz jego.

— Muu!... — szepnął tak tkliwie, z takim głębokim żalem i boleścią, jakby przez usta jęknęło szlochające serce.

Ręka mu drżéć zaczęła, gdy ją podnosił z wysiłkiem, by ująć dłoń żony i uścisnąć.

Usiadła naprzeciw niego i udawała, że splata równiankę z zerwanéj trawy.

Bzy woniały do koła, świegotało ptactwo na drzewach, słońce przez gałęzie złote plamy rzucało na przykryte szarym pledem kolana paralityka, a świeży, orzeźwiający powiew wiosny przeciągał ponad ziemią.

Mężczyzna zchylił głowę niżéj na piersi, przymknął powieki i jakby znużony tą jedną chwilą moralnego wstrząśnienia, zaczął drzemać.

Usta jego poruszały się czasem, a bolesny wyraz twarzy zmartwiał na rysach i przeszedł w jakąś apatyczną obojętność.

Naprzeciw niego siedziała młoda kobieta z rękoma splecionemi na kolanach i wpatrywała się w twarz swego Jasieńka... Bała się powstać, aby go nie zbudzić szelestem... Przypominały jéj się niedawne lata, a niepowrotne, szczęśliwe, tak niepodobne do téj teraźniejszości okrutnéj, kiedy im obojgu życie rajskiemi kwiatami słało drogę; zazdroszczono jéj tego małżeństwa z młodym, urodnym, dobrym i bogatym Jasieńkiem.

A dzisiaj?...

Dwa lata cierpień, jego zmieniły do niepoznania, jéj zabrały wszystko, nawet nadzieję, aby lepiéj być mogło.

Byle tylko gorzéj nie było! — mówiła sobie w duchu z jakąś niewymowną troską, która ją lękiem przejmowała.

Młodość, zdrowie, — wdzięki — wszystko straciło dla niéj wartość, odkąd on zaniemógł; zapomniała o tém, że świat istnieje,— jéj świat zapadł w ruinę tego jednego żywota, który los zawistny jakby klątwą jakąś roztrącał.

Ludzie mówili:

— Młoda jeszcze, owdowieje i wyjdzie powtórnie zamąż! — a ona tego wdowieństwa obawiała się, jak wiecznego potępienia i była gotową tak u kolan tego wegietującego paralityka życie całe przepędzić, byle go tylko śmierć nie wydzierała z jéj rąk.

On sam spoglądał niekiedy na nią z jakiémś niedowierzaniem, śledził podejrzliwym wzrokiem i ponuro wodził oczyma za towarzyszką swéj niedoli; odgadywała jego myśli i rumieniec oblewał jéj czoło, na płacz jéj się zbierało, a nie mogła uspokoić go pierwsza, niepytana, słowami:

— Ufaj mi, wierz, nie zawiodę cię nigdy, mój biedaku!... nie myśl źle o mnie, bo każda taka myśl mnie krzywdzi.

Przypominała sobie jego badawcze spojrzenia, któremi witał ją zawsze, gdy powracała do domu z bardzo rzadkich wycieczek na miasto; w ostatnich czasach przestała zupełnie wychodzić, bo jéj nieobecność rozdrażniała go zanadto.

W nocy, budził się nieraz niespokojny, podnosił głowę i szeroko otwartemi oczyma szukał jéj w półzmroku sypialni, a jakimś głosem dziwnie przejmującym wołał:

— Muu!... Muu!...

Musiała zrywać się z posłania, podchodzić do niego i pytać najczulej:

— Czego chcesz Jasieńku?... jestem tu... śpij, śpij moje życie, dopiero trzecia po północy.

Zdawało jéj się, że bywał teraz dopiero zazdrosny o nią od czasu swéj choroby; dawniéj nigdy w nim tego nie dostrzegała.

Młody lekarz, który go codziennie odwiedzał w zastępstwie starego konsyliarza, był jego kolegą szkolnym; miał zaufanie do jego wiedzy, ale podczas każdéj wizyty nie spuszczał oka z żony i z niego.

Nie pozwalał wychodzić jéj nigdy za nim do drugiego pokoju, uważnie podchwytywał każdy wyraz ich rozmowy.

Raz, gdy dłużéj niż zwykle zatrzymała swą rękę w dłoniach młodego doktora i uśmiechnęła się do niego z podzięką za wiadomość, że stan jéj męża zdaje się poprawiać, groźny wzrok chorego zazdrośnika dreszczem ją przejął.

Biedna »Muu« zrozumiała, co znaczyła ta wściekłość niemocy, z jaką po raz pierwszy zgrzytnął zębami, gdy do niego podeszła. Łzy jéj trysnęły z oczu ten jedyny

raz w jego obecności. Mimo to nachyliła się nad nim i złożyła pocałunek na jego czole, pytając najtkliwszym głosem:

— Co tobie, mój biedaku?... pan doktor powiada, że znalazł cię zdrowszym dzisiaj.

Przypominała sobie to wszystko teraz, podczas snu jego i jak anioł opiekuńczy ze złożonemi skrzydłami czuwała u kolan męża, zapatrzona w twarz »swojego Jasieńka«, czekając, aż się obudzi i zawoła na nią, jak zwykle:

— Muu!... Muu!...

Na ustach miała uśmiech łagodny, ale łzy pod rzęsą; stary konsyliarz powiedział jéj bowiem wczoraj wieczorem:

— Moja pani, ten stan może potrwać jeszcze lat kilka, ale polepszenia trudno się już teraz spodziewać; żal mi pani serdecznie!...

Powtarzała sobie te słowa niemal z radością, bo jéj utrwalały nadzieję utrzymania go przy życiu i dziwiła się, że ją stary doktor... żałuje.

On jéj miłością nie kochał swojego pacyenta.

XIII.

MRÓWKA.

Na trzeciém piętrze od podwórza zajmowali dwa pokoje z kuchenką, do któréj wchodziło się z ciasnego i ciemnego przedpokoiku na prawo; jeden był niby salonikiem, drugi sypialnią i garderobą.

Wypłowiałe meble starego fasonu, zapełniały pierwszy pokój, na ścianach wisiało kilka sztychów pożółkłych od wilgoci, lustro za duże w ciemnych, podrapanych ramach, za które założone były ozdobne bilety z powinszowaniem imienin i nowego roku, dobrze zakurzone i popstrzone przez muchy; bronzowa lampa olejna z pękniętą banią, bez szkiełka, stojąca na włóczkowej zielonéj patarafce, nie zapalana nigdy i służąca za ozdobę bez użytku, duży dywan splamiony od niepamiętnych czasów i wystrzępioną frendzlą obszyty, leżący na podłodze wytartéj w wielu miejscach z farby

i wosku, w oknach firanki świeżo uprane, ale wykrochmalone zanadto i cerowane w wielu miejscach, nadawały temu salonikowi owego ubogiego konfortu, który się w niezamożnych domach mieszczańskich spotyka.

Wszystko to robiło wrażenie resztek jakiejś rozbitéj fortuny, skupionych na tandecie i ustawionych bez ładu i składu, jakby dla zapełnienia miejsca między czterema ścianami.

Drugi pokój długi a wąski, o jedném oknie, wyklejony tanią tapetą w niebieski rzucik, zastawiony był łóżkami dwoma, szafami, kuframi, umywalnią; ciasno w nim było i niewygodnie, ale tu widocznie, jak do lamusa, usunięto wszystko, co się już nie nadawało do salonu. Wszelakie rupiecie zalegało kąty, na szafach stały pudła, pudełka, leżały zawiniątka, sznurkami owiązane, których nie było komu rozpakować od dawna i poukładać. Miednica z brudną wodą po umyciu, blaszany kubek niewylany, pościel z nocy wygnieciona i rozrzucona na łóżkach świadczyły, że o sprzątaniu mieszkania rzadko kiedy pamiętano w porę.

Nie było komu zajmować się tém i dopilnować porządków, po wyjściu pana i pani z domu.

Brudna, wiecznie zaspana i leniwa służąca, z głupkowatą fizyonomią, przesiadywała nieustannie w kuchni i do pokoju nie zaglądała, jakkolwiek codziennie słyszała napomnienie:

— Kasiu, a wyguzdraj się dzisiaj wcześniéj i pozamiataj pokoje, okna pootwieraj i poskładaj rzeczy, kurze pościeraj, a obiad na trzecią przygotuj.

Nie wiele to skutkowało; śmiecie z kilku dni zalegało kąty, po stole zakurzonym można było pisać palcem, a obiadu nigdy na oznaczoną godzinę zgotować się nie udawało.

Bywały o to sceny, gdy pani wracała »z budy«, a pan z fabryki.

Budą, nazywał się duży handel kolonialnych towarów i składu herbaty, w którym Ślarska od roku niespełna zajmowała posadę kasyerki. Mąż jéj miał zajęcie w kantorze fabryki maszyn i żelaznych odlewów. Oboje pochodzili z prowincyi, ona ze wsi, on z małego miasta. Rodzice jéj trzymali

dzierżawkę, jego ojciec był pomocnikiem rejenta.

Pobrali się przed kilku laty, a znali się od dzieci. Musieli na siebie czekać długo, zanim marzenia ich spełnić się mogły, zanim on znalazł kawałek chleba i mógł z biedą o żonie pomyśleć. Tymczasem ona została sierotą i musiała, jako najstarsza z rodzeństwa, pracować na utrzymanie dwóch sióstr i najmłodszego brata. Dawała lekcye muzyki i przygotowywała dziewczątka na pensyę; marny to był zarobek, ale dobre i to w braku czegoś lepszego.

Była już panną dojrzałą, kiedy mogła nareszcie wyjść za swego Frania; dostał miejsce w fabryce, jako pomocnik rachmistrza, ona znalazła zajęcie w magazynie i jakoś to poszło.

»Miodowy miesiąc« trwał nie cały tydzień; każde musiało pójść do swojéj roboty po skończonym urlopie. Urządzili się na początek ubogo... Nie stać ich było na nowe meble, zatrzymali stare po jéj rodzicach, bo i tak były dla niéj pamiątką dziecinnych czasów. Na fotelach siadywała niegdyś, jako mała dziewczynka, z nóżkami razem i bawiła się lalką; w lustrze

po babce przeglądała się jéj matka jeszcze, gdy ją ubierano do ślubu, a dywan był jéj własnéj roboty, wyszywała go ojcu na imieniny, po powrocie z pensyi.

Obiecywali sobie, że kiedy wezmą większe mieszkanie, oszczędzą cośkolwiek, to i o nowych sprzętach pomyślą. Teraz do tych dwóch »dziur« na trzeciém piętrze, nie warto było sprowadzać nic porządniejszego. Zresztą, po całych dniach nie siedzieli w domu, nocowali tylko, i na obiad schodzili się między trzecią a czwartą w swojém mieszkaniu. Zimą i latem budzili się po szóstéj, a szli spać o jedynastéj, chyba on miał do sprawdzania rachunki a ona oporządzała z igłą w ręku jego bieliznę lub szyła dla siebie nową bluzkę »do budy«, gdy się stara zanadto zniszczyła i wytarła na łokciach od ciągłego opierania ich na kontuarze; siadywała tam za nim prawie jedenaście godzin dziennie, odbierając pieniądze, kwity, wpisując wydatki i wydając resztę z każdego rubla i złotówki.

Od roku zdawało jéj się, że jest maszyną do przeliczania pieniędzy, otwierania i zamykania szuflady, sumowania długich kolumn drobnych cyfr w księdze codzien-

nych targów i nakłuwania białych kwitków na szpikulec, stojący między kałamarzem a gąbką do zwilżania palców.

I za to wszystko brała czterdzieści rubli miesięcznie, całych rubli czterdzieści, które jéj własną ręką odliczał każdego pierwszego sam pryncypał wymiętemi i wytłuszczonemi banknotami pojedynczemi, aby się ich pozbyć z kasy ogniotrwałéj.

Zajęcia miała dużo, zwłaszcza w porze zimowéj, przed Bożem Narodzeniem i Wielkanocą. W sklepie ruch bywał największy; zdarzało się często, że nie miała czasu wyjść na obiad do domu i musiała poprzestawać na wędlinach i herbacie, które spożywała stojąco, na prędce, w przejściu między sklepem a magazynem, ustępując się co chwila chłopcom i subiektom, przenoszącym głowy cukru, paczki herbaty, butle i kosze pełne, tam i napowrót.

Wracała dopiero na noc, dobrze nieraz po dziesiątéj do swojego mieszkania, wyczerpana, znużona, przeziębnięta, marząc o ciepłém łóżku i wypoczynku.

— Żeby choć Kasia nie zapomniała w piecu napalić i samowaru nastawić! — mówiła sobie, idąc po skąpo oświetlonych

schodach na trzecie piętro, które jéj się wydawało wysokiém, jak wieża Babylońska.

Przyszedłszy, zdejmowała z siebie co prędzéj salopkę, kaftanik watowany, chustkę włóczkową, którą nosiła pod kaftanikiem, mitynki zrzucała z rąk i przebierała się w swój szary, flanelowy szlafroczek, siadała przy piecu i w otwartych drzwiczkach rozgrzewała sobie zgrabiałe ręce i nogi w zelowanych trzewikach.

— Okropnie zimno w téj budzie — skarżyła się mężowi — gorzéj, niż w psiarni; ode drzwi wieje, zpod spodu ciągnie, nogi mam codziennie, jak lód.

— Czemu nie powiesz staremu, żeby kazał kasę przestawić?

— Kiedy niéma gdzie, zresztą musi stać na widoku; ktoby jéj tam szukał dopiero przy płaceniu!

Ciepło, buchające z pieca, napawało ją rozkoszą. Niczego jéj się nie chciało, tylko spokoju i trochy snu... Każda kosteczka w palcach wydawała jéj się soplem lodu; powieki ciążyły, w krzyżu od ciągłego siedzenia i pochylania się nad kontuarem,

czuła ból, jakby jéj kręgi wszystkie rozpierało.

— Ach, jak mi się spać chce! — mówiła, ziewając, do męża, który przy niedopitéj szklance herbaty przepisywał rachunki fabryczne i odkładał tylko pióro, aby z blaszanego pudełka wyjąć trochę taniego tytuniu i skręcić świeżego papierosa.

— Długo ty myślisz siedzieć dzisiaj? — pytała.

— Jeszcze z godzinę!

— Tak dużo masz do roboty?

— Samiecki zachorował, więc mi dali za niego rachunki, muszę skończyć na jutro rano.

— Że też ty zawsze innych musisz wyręczać, a tobie to nikt nie pomoże, mój Franiu!...

Spojrzała na niego z politowaniem i jakby z wyrzutem zarazem, że się dla drugich poświęca. Blada jego twarz okolona światłemi blond włosami i brodą, rozdzieloną pośrodku, nosiła również ślady wyczerpania i znużenia całodzienną, ciężką pracą w dusznym kantorze. Dokuczała mu przytém fluksya; biurko miał też przy samych drzwiach, któremi przetwierało się stu lu-

dzi dziennie, zimny prąd wiatru uderzał wprost na niego; zaziębiał się raz po raz, ale trudno — nie śmiał nawet poprosić, aby mu pozwolono przenieść się gdzieindziéj. I tak nie bardzo chętnie cierpiano go w fabryce, bo nie miał wielkiéj wprawy w załatwianiu poleceń i powolny był trochę z natury. Koledzy się krzywili, że chodzi w łatanych butach a panicza udaje i z nikim żyć nie chce; nie chciał, bo nie miał na to. Każdy grosz był mu drogim. Cały zarobek odnosił swojéj Józi, sobie zostawiając zaledwie kilka złotych na tytuń do papierosów.

Wiedział, że co miesiąc ze skromnéj pensyjki trzeba matce posłać jakiś zasiłek i rodzeństwu żony dopomóc; nie przelewało się przecież u nich...

Całe szczęście, że dzieci nie mieli...

Z początku tęskno im było bez tego błogosławieństwa w domu; obiecywali sobie, że wychowają syna, albo córkę, która będzie nosiła imię babki nieboszczki i miała krucze włosy, jak matka, a oczy niebieskie, jak ojciec. będzie raczkowała po dywanie i szczebiotała z nimi, i chychotała — pocieszka!... Powoli jednak spostrzegli się,

że w ich warunkach dziecko byłoby zawadą i ciężarem, że Bóg im łaskę robi do czasu, nie dając téj pociechy. Kiedyś tam, późniéj, gdy im lżéj będzie — to co innego; ale teraz muszą jeszcze sami sobie wystarczać.

Przywykli do tego życia samopas. Złączeni małżeńskim ślubem, w trosce o chleb codzienny, po całych dniach rozdzieleni byli ze sobą. Od świtu do nocy nie widywali się prawie, tyle tylko co rano przy śniadaniu, po południu przy obiedzie i późnym wieczorem po powrocie do domu. Jedno i drugie spieszyło się do swoich zajęć, ona »do budy«, on do kantoru, jak gdyby nie żyli dla siebie, tylko dla cudzych cyfr i interesów.

Gdy znaleźli wolniejszą chwilę do porozmawiania z sobą, najczęściéj nic wesołego nie było do powiedzenia. To jego matka pisała, że jéj reumatyzm dokucza, bo mieszkanie ma wilgotne i zmienić je musi. Stefek, najmłodszy brat, przychodził skarżyć się, że go głodzą u majstra, gdzie praktykuje i że buty ma podarte, aż mu palce wyłażą, a jeśli go siostra nie poratuje, to będzie musiał boso chodzić. To coś

się zepsuło w domu, to czegoś brakło, to jéj z kasy wczoraj gdzieś pięć rubli zginęło i miała scenę ze »starym«, to znów jemu w fabryce jakąś przykrość wyrządzono.

Najprzyjemniejszym dniem w tygodniu była dla nich niedziela. Nie potrzebowali przynajmniéj zrywać się z łóżka tak rano, mieli dzień cały dla siebie. Jego marzeniem było wyspać się raz na tydzień, a jéj odetchnąć trochę świeższém powietrzem i użyć ruchu na przechadzce.

Kiedy w niedzielę wypadła niepogoda, oboje byli zasmuceni, jak gdyby ich niebo pokrzywdziło za całe sześć dni pracy i wyczekiwania; zostawali w domu i patrzali w okna, jak para więźniów, których ominęło ułaskawienie.

Nie wypogadza się, — mówiła ona z ubolewaniem — a tak się cieszyłam, że pójdziemy trochę w Aleje!... Głowa mnie boli od kilku dni nieustannie. Nie wiem, co to znaczy.

To znaczyło, że ruchu miała za mało... bolały ją i piersi także, ale czekała, aż to... samo przejdzie.

Pewnéj niedzieli mąż zauważył, że ma jakieś wypieki.

— Czyś ty nie chora, Józiu? — spytał zatrwożony, wpatrując się w nią badawczo. Tak mało miał sposobności patrzéć na nią.

— Nie; dlaczego się pytasz?

— Boś jakaś zmieniona dzisiaj; i kaszlesz także?...

Zrobiła lekceważący ruch ręką i uśmiechnęła się.

— To jeszcze od września.

— Możeby się poradzić doktora?

— Za nic w świecie!

— Dlaczego?

— Bo mi się leczyć każe, a gdzież ja na to mam czas?... nie bój się, nic mi nie będzie.

Obiecywała sobie co roku, że w lecie na cały miesiąc na wieś pojedzie, »żeby tam nie wiedzieć co«, zacznie pić mleko i utyje, ale jakoś jedno lato za drugiém mijało i zawsze coś jéj stawało na zawadzie, aby wziąć urlop. Czekała do przyszłego roku.

Najbardziéj martwił ją mąż. Zapracowywał się, a zdrowia nie miał, oczy mu coraz głębiéj wpadały, policzki miał zaklęsłe, po

nocach nie sypiał, pod wieczór często miewał gorączkę, ale rano codziennie zrywał się o szóstéj i biegł na drugi koniec miasta do fabryki. Nawet nie miał czasu pocałować jéj na pożegnanie.

Tak dawno się już nie całowali!... pocałunek to rozkosz dla ludzi szczęśliwych, wypoczętych, swobodnych.

Nieraz, siadając przy oknie w niedzielę po południu, patrzała na dachy i kominy sąsiedniéj kamienicy i tonęła w zadumie, w rozmyślaniach, we wspomnieniach przeszłości... Boże, Boże, jak inaczéj wyobrażała sobie swoje małżeństwo i to życie dzisiejsze!... Jakąż sprzeczność z jéj marzeniami stanowiła szara, jednostajna teraźniejszość, pozbawiona wszelkiéj krasy i uroków!... Nic, tylko praca na chleb powszedni, tylko troska o jutro, tylko obawa, aby gorzéj nie było.

Pod okno na gzems zlatywała para siwych gołębi z przeciwka i gruchała z sobą; skrzydlate stadło trzymało się zawsze razem, jedno za drugiém leciało nierozdzielnie...

— Mój Boże, one szczęśliwsze od nas — mówiła sobie ze smutkiem w oczach —

przynajmniéj mają dzień wspólny dla siebie, a my!...

Ot, ptakom czasem lepiéj, niż ludziom.

Od kilku dni mąż wracał z fabryki chmurny, małomówny, rozdrażniony niezwykle; unikał jéj wzroku i z rękoma w kieszeniach spacerował po ciemnym saloniku, lub stawał za firanką i z czołem przytuloném do szyby, patrzał w ciemną noc za oknem.

Zaniepokoiło ją to, patrzała na niego badawczo, choć się jéj, gazowém światłem w budzie i robieniem rachunków, znużone oczy do snu kleiły.

Poszła za nim do drugiego pokoju, położyła mu rękę na ramieniu i spytała:

— Franiu, co tobie?... ty masz jakieś zmartwienie.

Nie odpowiadał z razu; po chwili dopiero, nie odwracając się do niéj, szepnął:

— Jakżeż nie mam się martwić... straciłem miejsce.

— Straciłeś miejsce!? — Boże kochany... I dlaczego? — wybuchnęła z przerażeniem.

— Stagnacya... oszczędności... Reduk-

cya personelu. Oddalono czterech razem ze mną... Licho wie, co teraz począć!

Stała przy nim, jak gromem rażona... Ta wiadomość zgnębiła ją, odebrała jéj mowę. On stał pochmurny, z wypiekami na twarzy, z zaciśniętemi rozpaczliwie ustami i nie śmiał spojrzeć na nią; nagle uczuł dwie ręce, obejmujące go czule za głowę i usta jéj na swojéj skroni, szepczące w pocałunku ze łzami zmieszanym:

— Nie bój się, mój biedaku, będę teraz pracowała za nas dwoje. Bóg nam przecież dopomoże!...

Bóg!.. a ludzie?...

XIV.

OTELLINA.

Ptasiego mleka brakowało im chyba do szczęścia całkowitego, a jednak...

Jednak nie byli z sobą szczęśliwi, nie mogli być w tych warunkach i to wcale nie z jego winy; może i nie z jéj, bo czyż kobieta jest winną temu, gdy przy wszystkich zaletach i cnotach dobréj żony, ma jednę, okropną wadę, kiedy jest samém wcieleniem zazdrości!...

Murzyn wenecki blednął przy pani Kornelii; jeżeli męża swojego nie udusiła, jak Otello Desdemonę, to tylko dlatego, że była od niego słabszą, wątlejszą i że do stłuczenia laskowego orzecha stalowym dziadkiem, potrzebowała jego pomocy, kiedy on je gniótł w palcach; ale że jéj na chęci do uduszenia swego Kotka nie brakło przynajmniéj raz na dzień w napadzie szalonéj

zazdrości — to nie powinno ulegać kwestyi.

Pani Kornela była Otellem w spódnicy. Mąż ją przezwał złośliwie Otelliną w jednéj z rzadkich chwil dobrego humoru, których mu nie zatruła goryczą urojonych zarzutów. Nie wolno mu było spojrzéć na żadną kobietę, wymówić kobiecego nazwiska, pochwalić obrazu, którego bohaterką była choćby Lukrecya, albo Penelope, dwie damy znane ze swéj cnoty klasycznéj i wierności małżeńskiéj.

Pani Korneli zdawało się zaraz, że Kotek ma ochotę ją zdradzić, że już ją zdradził, że się jéj sprzeniewierza nawet z malowanemi rywalkami, a Kotkowi często, ani się śniło o tém... W teatrze, lub na koncercie pan Konstanty nie wiedział, co ma począć z oczyma. Kiedy patrzał na scenę, narażał się na zgryźliwą uwagę żony:

— Podoba ci się panna X. — prawda?... Nie zjadajże jéj tak oczyma, boś już nie student przecież, abyś się jeszcze kochał w naiwnych.

Gdy spoglądał na publiczność najobojętniéj w świecie, pani Kornela biegła wzrokiem za jego spojrzeniami i zaniepo-

kojona, szukała przedmiotu mężowskiéj obserwacyi.

— Do kogo ty się tak uśmiechasz w krzesłach? — pytała; zdawało jéj się, że dostrzegała tajemniczy uśmiech porozumienia na ustach męża, które były najczęściéj wykrzywione lekkim grymasem znudzenia.

Nie chcąc się narażać na ciągłą kontrolę i podejrzenia swéj Otelliny, cofał się w głąb loży, opierał głowę na ręce i z zasłoniętemi oczyma słuchał komedyi lub opery, nie patrząc ani na scenę, ani na publiczność; wówczas spotykała go wymówka innego rodzaju:

— Nudzisz się ze mną w teatrze. Przy kim innym, miałbyś z pewnością minę bardziéj ożywioną!... O ja wiem, to dla ciebie ciężka pańszczyzna poświęcić mi kilka chwil wieczorem.

Z każdego balu, czy rautu, wracali zazwyczaj oboje zadąsani; ona, wyrzucając mu, że przez niego się nie bawiła, bo patrzéć nie mogła, »jak bezwstydnie zalecał się do kobiet i przypatrywał się ich dekoltowanym gorsom«, on znużony wystawaniem po kątach i podpieraniem ścian w salonie, podczas, gdy żona tańczyła i rozma-

wiała, śledząc mimo to każde poruszenie i podsłuchując podejrzliwie każde słowo swojego Kocia.

Przysięgała sobie, że się zamknie, nigdzie bywać z nim nie będzie, zerwie z całym światem.

— Możesz sobie sam chodzić, jeżeli chcesz — mówiła do niego — ja ci przeszkadzać nie będę; baw się, udawaj kawalera, bałamuć kobiety, przynajmniej na to patrzeć nie będę potrzebowała.

Niechby był wszelako spróbował choć jeden krok zrobić bez niéj za domem — no!... miałby się biedaczysko z pyszna.

— Zostawiasz mnie samą po całych dniach i nocach, mogłabym skonać i nie byłoby komu podać mi kropli wody! — narzekała z rozpaczliwym akcentem za jego powrotem. Oczy miała zapłakane, nosek zaczerwieniony, powieki od łez nabrzmiałe, skarżyła się na ból głowy, na ściskanie w sercu, czuła się osłabioną, chorą, zdenerwowaną. Musiał jéj wodą kolońską nacierać skronie, przykładać plasterki cytryny, biegać do apteki o północy po krople trzeźwiące, siedzieć do rana przy jéj łóżku, trzymając ją za rękę.

A kiedy usypiał ze znużenia, budził go nagle jéj płacz i wyrzuty:

— Jaki ty jesteś bez serca!... jak ty mnie dręczysz!... O Boże! jaka ja nieszczęśliwa!... Mam męża, którego mi świat zabiera, któż mi biednéj sierocie pozostanie. Zawsze sama i sama, ale to się skończy. Przysięgam ci Kociu, iż ci zawadzać nie będę, o nie... Będziesz miał wolność, poczekaj, niech tylko wstanę, niech się z łóżka podźwignę. Będziesz miał wolność!

W tych bolesnych słowach tkwiła pogróżka, którą znał dobrze, bo mu ją powtarzała, jako ostatni argument każdéj małżeńskiéj sprzeczki; chciała się zabić, ilekroć jéj się wydawało, że mąż ją kochać przestaje, że ma nowy romans po za domem, że na inną kobietę zwraca spojrzenia.

— Kociu, błagam cię, powiedz kto jest ta kobieta?... — wołała, rzucając się ku niemu i chwytając go za obie ręce.

— Co za kobieta?

— Nie udawaj, wiesz o kim mówię; ta, za którą szedłeś dziś przez cały plac Saski.

— Ależ moje dziecko, szedłem zamyślony, nie widziałem nawet, czy przedemną kto idzie.

— Ach, jak niegodnie kłamiesz!... widziałam cię w zeszłym tygodniu, jak biegłeś Senatorską za nią, za tą samą... blondynka w niebieskim kapeluszu, uśmiechała się do ciebie.

— Daj mi pokój z blondynkami w niebieskich kapeluszach, kobieto!...

— Nie chcesz mi powiedzieć... Słuchaj, biada ci, jeżeli was jeszcze razem z sobą spotkam... Patrz, kupiłam sobie witryoleju, obleję jéj twarz i tobie, będziesz miał skandal, kiedy sobie tego życzysz. Tak, ja się nie pozwolę oszukiwać, ja jestem żona, która jedynie ma do ciebie prawo, bom cię ukochała nad życie, nadewszystko! Za moją miłość przynajmniéj mi się od ciebie szacunek należy, jeżeli nie możesz mi być wzajemnym.

Potok łez gasił zwykle ten wulkaniczny wybuch oburzenia.

— Żebym chociaż wiedziała, dlaczego ty mnie kochać przestałeś! — zawodziła głosem rozżalonym, wznosząc ku niemu oczy bolesnéj Madonny, przejęta do głębi swojém uprzedzeniem.

— Ależ Nelciu, co ty sobie do głowy przypuszczasz...

— O nie, nie — przerywała mu z uporem — ty mnie już nie kochasz, jak dawniéj... pamiętasz, przysięgałeś mi, że tylko dla mnie żyć będziesz...

I tu zaczynał się cały szereg wyrzutów, najczęściéj bezpodstawnych, opartych na drobnostkach, które tylko nadczuła drażliwość kobieca mogła brać w rachubę; z tą najfałszywszą logiką błędnego założenia pani Kornela dowodziła swemu mężowi, że nie jest tak kochaną, jak dawniéj, jak na to zasługuje, jakby ją inny dobry, poczciwy, delikatny i uważający mąż mógł kochać.

Potrzeba było anielskiéj cierpliwości pana Konstantego, aby tego wszystkiego wysłuchać, nie unosząc się, z pobłażliwym uśmiechem dobrowolnéj ofiary, z wyrozumiałością dojrzałego umysłu.

Każda w tym rodzaju scena małżeńska kończyła się wprawdzie zgodą, nowemi zastrzeżeniami, przysięgami, powrotem do równowagi, ale pan Konstanty czuł się zmęczonym, rozdrażnionym, zbitym moralnie i powtarzał sobie w duchu przeczytany kiedyś wierszyk Hajoty, pełen życiowego doświadczenia:

I poznałem po niewczasie
Prawdę srogą,
Że drobiazgi wielką miłość
Zabić mogą...

Kochał jednak swą Otellinę, i to kochał prawdziwie, statecznie, potwierdzając jednym przykładem więcéj tę sercową anomalję, że się kocha swoich tyranów w miłości.

Otellina zaś manją zazdrości dotknięta, nie przestawała mu dokuczać, powtarzając bezustanku swoje stereotypowe narzekanie:

— Ach, jak ty mnie dręczysz człowieku!...

Słowa te brzmiały gorzką ironją w uszach i sercu pana Konstantego, zwłaszcza, gdy po nich następował wykrzyknik całkiem szczery i z głębi przekonania wydobyty;

— Gdybyś ty mnie tak kochał, jak ja ciebie, jakżebym była szczęśliwą!...

Ustawiczną kontrolą otaczała swojego Kotka; przeszukiwała codziennie jego kieszenie, zaglądała do pugilaresu, przewracała w papierach, miała dorobione kluczyki do wszystkich jego szuflad i skrytek, a gdy wychodził na dłuższy czas z domu, kazała swéj powiernicy Franusi szpiegować pana.

Często z wizyty u kolegi, albo z cukierni,

gdzie bywał na szachach, wywoływała go służąca z oznajmieniem:

— Pani prosi, aby pan przyszedł natychmiast, bo pani bardzo zasłabła...

Pędził do domu co tchu i na progu spotykał się z uśmiechniętą Otelliną, która go witała słowami:

— Nic, nic, mój Kociu, chciałam się tylko dowiedzieć, co ty tam robisz tak długo?...

Niekiedy opuszczała ją manja podejrzliwości, wtedy była dla niego najczulszą, najlepszą żoną, łagodną, jak gołąbek, uległą, jak baranek, a pieszczotliwą, jak młode kocię. Siadała mu poufale na kolanach, gładziła jego włosy, bawiła się jego wąsami i z lubością kochającéj kobiety patrzyła mu w oczy, szukając w nich odblasku swojéj miłości. Pan Konstanty czuł się wtedy nad wyraz szczęśliwym, mając swą małą, drobną, ładniutką Nelcię w swojém objęciu, zapominał o przebytych torturach i...

Jedno spojrzenie Otelliny spadało, jak grom w to niebo chwilowego szczęścia.

Pani Kornela dostrzegała jakąś skazę na szyi męża.

— Kociu, co to jest?... Ty jesteś zadrapany, ty jesteś zadrapany szpilką?... Kto

cię zadrapał?... Kiedy?... wczoraj tego przecie nie było!

— Ależ od wczoraj nie wychodziłem z domu.

— To może ślad dawniejszy... mów, kto ci to zrobił?...

I zaczynała się długa indagacya, która psuła znowu arkadyjską harmonię spokoju obojga małżonków, a kończyła się przelotną burzą i nową ścisłą rewizyą wszystkich kieszeni, szuflad i skrytek pana Konstantego.

Kiedy przez dłuższy czas biedna Nelcia nie mogła znaleźć faktycznego żeru dla nakarmienia hydry zazdrości, to go sobie sztucznie stwarzała.

Zazdrość ta była soliterem jéj serca, odrastała nieustannie i żywiła się jego sokami.

Ktoś powiedział, że zazdrość jest solą miłości, ale zapomniał dodać, że téj potrawy bogów przesalać nie należy, bo... przestaje smakować.

Pewnego razu, gdy pan Konstanty wracał do domu, w bramie spotkał go posłaniec i wręczył mu zawiniątko, zaadresowane do niego kobiecą ręką; zdziwiony rozerwał bibułkę... z wnętrza doleciał go zapach fijołków.

Na karteczce ukrytéj w bukieciku znalazł tajemnicze hieroglify: »Od K...« Zanim się spostrzegł, posłańca już nie było. Zastanowiła go ta anonymowa posyłka. Kto mu mógł przysłać kwiaty?... Wczoraj, co prawda, spotkał na ulicy kobietę, która niegdyś, za kawalerskich czasów darzyła go szczególniejszemi względami; mówiono nawet, że była nim poważnie zajętą, ale od czasu jego ślubu zniknęła bez wieści i nie pokazywała mu się na oczy. Coś jakby woń stłumionych wspomnień poczuł w tym bukieciku fijołków i... przestraszył się własnych myśli. A Nelcia?... a gdyby ona to wiedziała?... miałbym nowe piekło w domu.

Jak student złapany na gorącym uczynku, ukrył szybko tajemicze kwiaty w kieszeni i wbiegł na schody; nie śmiał jednak wejść do siebie z tak niebezpieczną kontrabandą... Potargał tedy bukiecik, nie nasyciwszy się nawet jego wonią i wyrzucił szczątki przez okno na dziedziniec... Czuł, że mu po tym wandalizmie lżej się zrobiło i że będzie o wiele pewniejszym siebie, gdy stanie oko w oko ze swoją Otelliną, wietrzącą zdradę na pół mili.

Zanim ujął za klamkę, przytknął rękę do nosa, aby się przekonać, czy na palcach nie pozostał mu zapach kwiatków.

W gabinecie spotkał żonę, oczekującą go widocznie; nie zauważył, jak niezwykle badawczém spojrzeniem obrzuciła go całego...

— Gdzie byłeś, Kociu?

Od tego zaczynało się zwykle.

— U adwokata.

— Nigdzie więcéj?...

— Nigdzie, gdzież indziéj miałem być...

— Spotkałeś kogo?

— Nikogo ze znajomych.

— Nikogo?... tak?

Oczy Otelliny łysnęły pierwszą błyskawicą.

— Nic nie przyniosłeś z sobą?

Pan Konstanty się zmieszał, ale z udaną obojętnością odpowiedział:

— Nic, moje dziecię.

Pani Kornela oblała się rumieńcem oburzenia... Czuła, że coraz trudniéj będzie mogła się pohamować. Aha!... łapała męża na ohydném jakiémś kłamstwie.

— Tak? — zaczęła ze źle maskowanym przekąsem — nie udawaj, mój Kociu, przypomnij sobie.

— Ależ... upewniam cię...

Niecierpliwość indagatorki nie mogła dłużéj wytrzymać.

— Kłamiesz niegodnie — wybuchnęła, zrywając się z kanapy — dostałeś kwiaty od kobiety, od swojéj kochanki!...

— Ja?... kwiaty?... Nelciu, co ty mówisz?... Nie wiem nic o żadnych kwiatach.

Czuł, że się oblewa ponsem, że kłamie, zapierając się, ale go jakiś instynkt samozachowawczy wbrew jego woli, popchnął na te manowce.

Pani Kornela miała w téj chwili twarz Gorgony.

— Ha, tak?... zapierasz się?... nie dostałeś żadnych kwiatów?... więc zwodzisz mnie, ukrywasz się, poczuwasz do czegoś. Myślisz, że nie wiem o niczém?... Jakto, śmiesz mi zaprzeczyć, żeś przed chwilą nie odebrał bukiecika fijołków od posłańca w bramie?... śmiesz mi to w oczy powiedzieć?... Widzisz, złapałeś się w zasadzkę!.. Ty masz romansik jakiś poza domem i dlatego nie masz sumienia spojrzéć mi prosto w oczy, dlatego się zapierasz!... Ja wiedziałam, że cię zdemaskuję, posyłając ci ten bukiecik z anonymem...

— Więc to ty, ty sama?...

— A tak, ja... ja! Chciałam wypróbować twoję szczerość, chciałam się przekonać, czy mówisz prawdę, czy mnie nie oszukujesz, teraz wiem wszystko, mam rywalkę, mam!... Jednak moje przeczucia mnie nie omyliły, niestety!.. O jak ty mnie dręczysz człowieku!...

— Ja ciebie dręczę!... ja?!... kobieto...

Rozpaczliwy, spazmatyczny śmiech porwał biednego Kocia.

— Śmiéj się, śmiéj teraz! — wołała, zanosząc się od płaczu wzburzona Otellina. — Ja tego nie przeżyję, to mnie zabije, dość mam téj męczarni i twego wiarołomstwa, o dość!... Boże, jakam ja nieszczęśliwa, co ja cierpię przez tego człowieka!...

Dwóch tygodni czasu potrzeba było na osuszenie wszystkich łez i przekonanie pani Korneli, że z własnéj winy naraziła się na tyle przykrości i że nie ma najmniéjszego powodu do popełnienia samobójstwa, ani do otrucia męża, ani do oblania witryolejem urojonéj rywalki.

Pan Konstanty wszelako od owego czasu, stał się bardziéj zamyślonym, jakimś szczególniejszym wzrokiem obserwował swoję

żonę i zdawało mu się dostrzegać w niéj pewne zakłopotanie, które go w dobry humor wprawiało.

Pomiędzy korespondencyą, przynoszoną z poczty, znajdował się co tydzień, co dwa tygodnie, jakiś tajemniczy, wonny liścik z czułym emblematem na kopercie, adresowany do pani i doręczany jéj do rąk własnych, niby to bez wiedzy samego pana.

Pewnego razu do gabinetu żony wszedł pan Konstanty z twarzą nachmurzoną, poważny, surowy, i kładąc przed nią różowy liścik z niezapominajką, spytał krótko, oschłym zniżonym głosem:

— Co to znaczy, moja Nelciu?...

Pani Kornela drgnęła; była w téj chwili bardziéj zmieszaną, niż jéj mąż kiedykolwiek przed majestatem jéj gniewu i niesprawiedliwości.

— Kto to śmié pisać do ciebie w ten sposób?... — pytał daléj pan Konstanty, czując się panem sytuacyi. — »Pani, jestem może szalony, że znowu piszę do ciebie, ale zdawało mi się w twojém spojrzeniu widzieć znowu zaprzeczenie słów, któremi zabroniłaś mi pisywać do siebie... Spotkałem cię wczoraj na ulicy, co za roz-

kosz!... przeszłaś obok mnie i uśmiechnęłaś się... O nie mów, nie zapieraj się, że mnie nie znasz i że się nawet nie domyślasz, kto jest tym śmiałkiem, którego oczy twoje cudne, rozzuchwaliły do tego stopnia...«

Pani Kornela nie pozwoliła dłużej czytać mężowi. Wyrwała mu list z rąk, zmięła i rzuciła z oburzeniem na ziemię. Chciała wyjąkać cośkolwiek i nie umiała się zdobyć na żadne usprawiedliwienie.

— Jakto?... Prowadzisz korespondencyę tajną bez mojéj wiedzy? — pytał pan Konstanty — pozwalasz na to, iżby jakiś chłystek oświadczał ci się ze swoją miłością, żeby *poste restante* odbierał od ciebie listy i śmiał prosić o schadzkę?... Co to wszystko znaczy?...

Głos pana Konstantego brzmiał surowo, jak głos sędziego; pod zchmurzonemi brwiami ważył się piorun, ale przez usta przemykał chyłkiem złośliwy uśmieszek zadowolenia i przebiegłości.

Otello górował w tej chwili nad zakłopotaną Otelliną, która nadaremno próbowała pochwycić równowagę i spojrzéć śmielej w oczy mężowi. Czuła się zgnębioną, przy-

bitą, pierwszy raz w życiu straciła przewagę nad swoim Kociem. Łzy jéj się w oczach kręciły, ale nie śmiała płakać, bo łzy byłyby przyznaniem się do jakiéjś winy, której nie popełniła, a jednak czuła się czegoś winną.

— Ależ mój Kociu... mój drogi... ja ci to wytłómaczę... ja sama dobrze nie wiem... — jąkała zmieniona do niepoznania — bo to widzisz, te listy... ja chciałam ci od razu wszystko wyznać... ja nie rozumiem, jak ten jakiś się ośmiela...

Twarz pana Konstantego nie rozchmurzała się ani na chwilę; udawał, że słucha z uwagą, ale z uprzedzeniem przerywanego wyznania żony, która się wikłała w wyjaśnieniach i na swoję obronę miała tylko jedyny argument, powtarzany na różne tony:

— Przecież ty nie przypuszczasz mój Kociu, żebym cię chciała zdradzać!...

Otello był nieubłagany, niewzruszony, im bardziéj Otellina przekonywać go usiłowała o swojéj niewinności.

Sprawa pozostała w zawieszeniu.

W tydzień później, nadszedł bukiet pod adresem pani, przysłany znowu bezimiennie

przez tajemniczego wielbiciela. Pan Konstanty, nieszczęśliwym trafem własnoręcznie kwiaty od posłańca odebrał i zaniósł je żonie. W oburzeniu wyrzuciła bukiet przez okno...

— A, co to za bezczelny człowiek! — wołała, drżąc z gniewu — jak on śmie narzucać mi się w ten sposób...

— Nie trzeba go było ośmielać, moja pani — odpowiadał pan Konstanty wyniośle, tonem spokojnego wyrzutu, który panią Kornelę do rozpaczy doprowadzał.

Natarczywy anonim nie dał się zrażać, przysyłał listy coraz gorętsze, coraz namiętniejsze, wmawiał w swoje bóztwo, że go zna dobrze, że go widuje, że mu daje zachętę cudownemi oczyma, chociaż na pozór jest obojętną i zimną, jak głaz, dziękował za jakieś cienie nadziei, dostrzeżone w jéj postępowaniu.

W »prywatnych korespondencyach« Kuryera, codziennie prawie znajdowały się czułe apostrofy do »Niegodziwej«, pod któremi był podpisany »Rycerz Toggenburg«, a przy czytaniu których, pani Kornela prawie mdłości dostawała, wijąc się w nadaremnych domysłach nad rozwiąza-

niem zagadki, rzucającéj nieustanny cień podejrzenia na nią w oczach jéj męża.

Nie domyśliła się jednéj bardzo prostéj rzeczy, że ryzykownym podstępem z fijołkami, nauczyła sama swojego Kocia, jak się wprowadza w kolizję tak małemi środkami zazdrosną żonę i klin klinem wybija.

Pan Konstanty znalazł środek zapewnienia sobie spokoju co pewien czas małym wydatkiem na ogłoszenia w Kurjerze, na posłańców i na romansowe anonimy przez pocztę.

Za każdym razem, gdy się partya małżeńska chwiać zaczynała, zadawał zręcznie... szacha królowéj.

Niechaj mu Hymen tego fortelu nie pamięta, a inne Otelliny za złe nie biorą.

A la guerre, comme à la guerre...

SPIS RZECZY.

Str

I. Kokoszka 1
II. Astra 7
III. Trusia 31
IV. Baba 47
V. Komedyantka 63
VI. Muszka 79
VII. Walentowa 95
VIII. Pani hrabina 113
IX. Bziczek 131
X. Tamta 145
XI. Inseparables 165
XII. Muu... 183
XIII. Mrówka 197
XIV. Otellina 215

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
106102